ROCZNIK X. Maj 1906. Tom. III. - Nr. 5.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

Czyby to być nie mogło?

Terminator z przed laty pięćdziesięciu a dzisiejszy terminator miejski, to dwie postacie tak różne, jakby należały do dwóch epok oddalonych od siebie kilku wiekami. W drugiej połowie ubiegłego stulecia uległy zupełnemu przeobrażeniu rzemieślnicze stosunki szkolne i organizacye cechowe. Przemysł puścił się na nowe tory postępu i odkrył terminatorowi nieznane dotąd pola nauki. Dokonała się zmiana pojęć o sztuce i poglądów estetycznych: pojawiły się nowe dążenia, prądy, hasła i ideały.

A skoro tak odmiennie ukształtowały się około terminatora warunki nauki, pracy i życia, to nic dziwnego; że odmienne są dziś jego stosunki do świata, i odmienne jego potrzeby. Opieka, pod którą przed pięćdziesięciu laty młody rękodzielnik żył zabezpieczony od zgubnych wpływów, dziś jest pod niejednym względem przeżyta i wadliwa. Dawniejsze wychowanie rzemieślnika, zestawione z dzisiejszemi potrzebami, ma takie braki, że byłoby wodą na młyn socyalistów, gdybyśmy nie poczynili w niem pewnych poprawek.

Oto przykład.

Bezpowrotnie minęły czasy, w których społeczeństwem zajmowano się tylko w kołach filozoficznych i prawni-

czych. Dziś kwestya socyalna jest do tego stopnia spopularyzowana, że o ustroju społecznym myśli i rozprawia w mieście każdy robotnik; i nie tylko myśli i rozprawia, ale czuje się powołanym do czynnego udziału w jej rozwiązaniu. A że on nie jest na tyle umysłowo rozwinięty, aby mógł samodzielnie wniknąć w istotę społeczeństwa i jego reformy, więc szuka dla swej myśli gotowych wzorów, — i tak, czem więcej marzy o wolności, tem bardziej wpada w zależność od cudzego programu.

Dwie główne myśli ścierają się dzisiaj ze sobą i dążą do opanowania rękodzielnika: myśl katolicka i socyalistyczna. Każda chciałaby się udzielić jego umysłowi dopóki jest nieuprzedzony, dopóki jest ową *tabula rasa*, na której przeciwna teorya dotąd swych zasad nie wypisała. I katolicy i socyaliści wiedzą, że jeśli umysł głęboko myślący nie może się wyrzec własnego zdania bez pewnego wysiłku, to tylko bardzo wyjątkowo i z ogromnym trudem można rękodzielnika do tego przywieść, aby swoje przekonania zmienił. Wiadomo, że majster, zwłaszcza starszy, jest zwykle mało przystępny dla teoryi socyalistycznych, i że do jego poglądów musi się (przynajmniej pozornie) nagiąć i terminator, bo on zanadto zależy od swego pryncypała, aby mu się mógł narażać. Terminator więc najczęściej nie wypowiada się za żadną teoryą, ale już wyrabia w sobie pewne przekonania, bo pomimo czujności majstra często czeladnik z pod czerwonego sztandaru podsuwa mu piśmidła, wyraża się pogardliwie o kościele i kapłanach, wpaja niechęć do majstra i władzy, mówi o krzywdach, niewoli i hańbie, uczy socyalistycznych myśli, uczuć, żądań i życia. Nowość i pozorna słuszność tych zasad tak silnie działają na wrażliwego terminatora, że się socyalizmem upaja, choć się jeszcze ze swem przekonaniem ukrywa przed światem. — Ale nadeszła chwila wyzwolenia. Odtąd już niczem krępować się nie potrzebuje, bo któż mu teraz wzbroni ściślejszych stosunków ze zawołanymi socyałami? Kto teraz śmie żądać, aby otwarcie swych wierzeń społecznych nie wypowiadał? — Nikt! — wszak się wyzwolił i wpisuje się do partyi.

Te stosunki dopiero wtedy naprawdę się polepszą, gdy akcya katolicka uprzedzi insynuacye socyalistyczne i młodzież naszą względem nich odpornie usposobi. Niewątpliwie potrzebną jest w tym czasie terminatorowi przedewszystkiem gruntowna znajomość religii. Ale obok niej już w dwóch ostatnich latach terminu należy koniecznie zaznajomić uczniów z podstawowemi zasadami socyologii chrześcijańskiej. Szeregiem wykładów łatwych, praktycznych, trzeba uczniom objaśnić istotę społeczeństwa, pochodzenie władzy, pojęcie własności, nieuniknioną i prawem naturalnem sankcyonowaną nierówność, kardynalne kwestye ekonomiczne, stosunek kapitału do pracy, a zwłaszcza społeczne błędy socyalne, niedorzeczność, niesprawiedliwość, utopijność i bezbożność socyalizmu.

Ktoś mi raz zarzucił, że tego materyału z 15-18letnimi młodzieńcami przerobić nie można, bo oni jeszcze do takich kwestyi nie dojrzeli. — Przyznaję,

że przygotowanie wykładów społecznych, zastosowanych do ich pojęć, kosztuje niemało trudu; ale że to rzecz możliwa, tego dowodzi pracująca nie bez powodzenia propaganda socyalistyczna. Ze względu na dzisiejsze stosunki społeczne należałoby, mojem zdaniem, powierzyć te wykłady, o ile możności, księżom katechetom i skompletować nimi program wieczornych i świątecznych kursów uzupełniających, podnosząc odpowiednio tygodniową ilość godzin wykładowych.

Na ewentualny ubytek jakiejś godziny pracy majstrowie krzywić się nie będą, jeżeli naprawdę pojmują swoje zadanie społeczne; owszem, oczyszczą się chyba do reszty z zarzutu wyzyskiwania pracy terminatorskiej.

Najmniej zaś ucierpi na tem fachowe wykształcenie ucznia, jeżeli się w umowie z majstrem zastrzeże, że chłopiec w pierwszym roku terminu nie będzie bawił dzieci, i nie będzie całymi dniami pilnował interesów, które z terminem wcale się nie wiążą. Niech terminator będzie terminatorem od chwili oddania go majstrowi na naukę, a w przeciągu czterech lat dojdzie do zdumiewającej biegłości fachowej, chociaż codziennie o godzinie szóstej wieczorem będzie już siedział na ławie szkolnej.

To w miasteczkach. Na wsi takie wykłady są częścią niemożliwe, częścią niepotrzebne. Duchowieństwo wiejskie pracuje przeważnie w takich warunkach, że dzięki swojemu wpływowi łatwo innymi środkami może położyć tamę przewrotnemu zalewowi.

Czy ten głos znajdzie posłuch? — Nie mam do tego pretensyi, chyba tę, że jest on słuszny. Jednakże mam to przekonanie, że przeprowadzenie powyższej myśli paraliżowałoby propagandę socyalistyczną; co stąd wnioskuję, że świadomymi przeciwnikami socyalizmu byli zawsze czeladnicy, których społeczeństwu dostarczają zakłady salezyańskie, przestrzegające następującej uchwały Kapituły Generalnej: „Dla zabezpieczenia młodych uczni naszych szkół rzemieślniczych i kaplic świątecznych od nowoczesnych fałszów, należy im od czasu do czasu mówić o kapitale, pracy, zarobku, święceniu niedzieli, o bezrobociu, oszczędności, prawie własności, nie wkraczając jednak w dziedzinę polityki (1).



Tchnienie nieskończoności.

Smutne i dziwne zamieszanie było na ulicach Jerozolimy. Do bram miasta spieszyły tłumy i rozpraszały się po wszystkich zaułkach i zakrętach; na jednych twarzach widać było przerażenie wielkie, inne patrzały z niepokojem i trwogą, w niektórych oczach świecił wyraz blizkiego obłędu. Trwodze tej towarzyszył szum głuchy, jakby pasowanie się sił morskich odmętów. Słychać było głosy zmieszane, ale w tym gwarze ginęły słowa; czasem głośniej krzyk jaki zabrzmiał, zadzwonił płacz — i skonał w ogólnym szmerze tłumu.

Nie na wszystkich jednak twarzach to piętno przestrachu wyryte było, nie wszystkich oczy patrzyły obłędem czy trwogą, nie wszyscy szli z pośpiechem niepokoju, nie wiedząc dokąd idą. Były postaci mężów i kobiet nie tylko smutne, ale okropnie smutnie; tu i tam patrzały oczy zalane łzami bezbrzeżnej boleści: ale czoła

(1) Zob. *System wychowawczy, przyjęty w domach Zgromadzenia Salezyańskiego, założonego przez ks. Jana Bosko.* — Oświęcim, 1905. Str. 146.

opromieniał jakiś blask niezwykły. Na czoła te zwracały się czasami spojrzenia tłumów, a patrzały z nienawiścią lub przestrachem. Skąd biegli? co ich takiem przerażeniem gnało?..... Nad karkami uciekających nie błyszczał miecz nieprzyjaciela, grożący ciosem śmiertelnym, tylko — za nimi w dali, na czerwonem tle nieba, czerwonem jakby je ogarnęła olbrzymia łuna pożaru, na górze trupich głów, inaczej „Golgotą zwanej,“ czerniały trzy krzyże. Tam przed chwilą odbyła się kaźń, zawieszony na krzyżu skonał Syn Maryi.



Kościół św. Rodziny we Florencyi *(Zob. str. 98).*

Niejeden już tam poniósł tę śmierć haniebną, na niejedno męczeńskie konanie tłum patrzał i odchodził spokojnie.

A dziś?...

Dziś — gdy Jezus z Nazaretu pokrytą śmiertelną bladością głowę na pierś pochylił, ostatnie tchnienie wydając, — ziemia zadrżała i ciemność padła na świat; tych, którzy byli w świątyni, przeraził suchy łoskot rozdzierającej się zasłony, inni słyszeli huk pękających grobów, i widzieli ciała umarłe z przedwiecznych wychodzące mogił. A gdy ziemia drżeć przestała i rozproszyły się ciemności, słońce, jakby promienie swoje we krwi umoczyło, cisnęło blask czerwony i samo było rozdęte, krwawe, jakby lada chwilę prysnąć miało i krwią świat zalać. Przedtem przeraziło tłum drżenie ziemi, i noc nagła i trzask pękających na grobach kamieni, teraz umysły pomieszał ten pożar.

— Niebo się pali! — wołał tłum przerażony.

— Zaiste, umarł syn Boży — powtarzały blade usta oprawców.

I tłoczono się w mury Jerozolimy, zwracając pełne przestrachu oczy za siebie, gdzie na tle rozpalonego nieba czerniał krzyż Chrystusa. — A słońce coraz niżej chyliło się ku zachodowi, i coraz krwawiej świeciło. Krwią zdawała się być oblana Golgota, krwią opływały liście drzew oliwnych; na dachach domów, na łukach bram, na gzymsach świątyń — wszędzie była krew. Ludzie i głazy, zwierzęta i drzewa, ziemia i niebo zalane były tą okropną krwią słońca...

Więc tłumy ogarnął strach.

Tylko ci, którzy zwali się uczniami Jezusa, i na których spoczywał teraz wzrok nienawiści i mściwości pędzącego tłumu, — mimo boleści wielkiej — mieli oczy opromienione dziwnym blaskiem; tylko ci, którzy Chrystusa na śmierć wydali, kapłani w piśmie uczeni, Faryzeusze i Saduceusze, mimo wewnętrznego w duszy lęku, na ustach mieli złowrogi uśmiech radości z dokonanej zbrodni, w oczach szatański błysk tryumfu, że Ten, który się mienił Synem Bożym, poniósł śmierć haniebną.

— Grób ofiar swoich nie puszcza, umarli nie wstają — szeptał Harus, którego mędrcem zwano, mistrz Saduceuszów, upokorzony nieraz przez Syna cieśli. — Grób ofiar swych nie puszcza: ze śmiercią kończy się twoje panowanie, Jezusie Nazareński.

Przedzierał się przez tłumy, zapierające mu drogę; stłoczonych łokciami rozbijał, i krokiem szybkim, z piersią dyszącą szedł do swego domu. Niejeden chciał zatrzymać mędrca i spytać go o wytłumaczenie zjawisk, ale widząc

jego chód niespokojny, pospieszny, ruchy gwałtowne, oczy jakimś dziwnym płonące



Kościół św. Rodziny we Florencyi *(Widok wewnętrzny).*

ogniem, usuwał się z drogi, robiąc mu przejście wolne.

Harus szedł szybko, za szybko nawet na swój wiek, ale im bliżej był domu, tem większy niepokój na twarzy mu się malował: oczy zachodziły mgłą jakąś, krok zdawał się chwiejny, ręka prawa biegła w stronę serca i konwulsyjnie ściskała fałdy szerokiej sukni. Zdawało się, że przed progiem domu zatrzyma się nagle: ale on, jakby przeczuwał tę niemoc swoją, dobył ostatnich sił i przez próg skoczył. Tu, jakąś gorączką gnany, przebiegł sień i biegł do komnaty, gdzie służebne niewiasty strzegły jego córki. Nie przestąpił jednak progu: we drzwiach stanął, może dlatego, że nogi mu odmówiły posłuszeństwa, a może też dlatego, że ujrzał córkę swoją, którą nad życie kochał, leżącą na ręku służebnic, z zapuszczonymi palcami w bujnych warkoczach włosów, które targała w przystępie jakiegoś szału. A była blada śmiertelnie, jej ramiona i piersi przybrały barwę zimnego alabastru, choć ściany komnaty, kamienne płyty podłogi, kobierce i sprzęty paliły się krwawym pożarem zachodu.

Harus się zachwiał — głębokie brózdy bólu czy wściekłości zorały mu czoło, ale zaledwie miał czas odetchnąć, gdy Assyka zerwała się i pobiegła ku niemu.

— Skonał! — krzyknęła.

— Kto, kto, kto? — wypadło pytanie z zapienionych ust Harusa.

Nie zmarszczki już, lecz fałdy pokryły mu czoło, nozdrza zawachlowały, a piana gniewu na usta wybiegła.

Drżał.

— Kto? — rzucił po raz czwarty z jakimś charkotem w piersi.

— Jezus — wyszeptały usta dziewczyny.

Oczy Harusa zbielały.

— Kto śmiał ci donieść o Jego śmierci? — krzyknął.

Wściekłemi oczyma powiódł dokoła i zatrzymał je na służebnicach Assyki, które przelękłe, blade i nieme stały przed nim.

Była chwila strasznego milczenia, tylko coś



Kościół św. Rodziny we Florencyi *(Widok zewnętrzny, z boku).*

grało w piersi Harusa, tylko głucho ząb o ząb uderzał. — Po chwili wybełkotał:

— Kazałem wam strzedz jej jak oka w głowie i milczeć. Sam miałem oznajmić jej o śmierci

Tego, którego ona w szale swoim za proroka uważa. Biada wam, żeście przekroczyły mój rozkaz — biada wam.

Na wezwanie pana weszli oprawcy z rózgami, ale Assyka stanęła we drzwiach i nie pozwoliła tknąć służebnic swoich.

Harus zczerniał.

Ty śmiesz? — zachrapał.

— Ja — odpowiedziała Assyka głosem spokojnym, choć w oczach miała łzy a na ustach drżenie — ja nie pozwolę skrzywdzić niewinnych. Rozkaz twój wypełniony był z tyrańską obojętnością. Kazałeś mnie strzedz, — strzegły; kazałeś milczeć — milczały. Nie wiedziałam nic, co znaczy ta straż i to milczenie, choć w duszy mojej powstał smutek bezbrzeżny, przeczucie czegoś strasznego i wielkiego zarazem. Czy tłumy zbierały się na ulicach i placach miasta, czy szły i dokąd szły, nie mogłam stąd widzieć. Drzewa oliwne, rosnące tuż pod oknami, stanowiły nieprzebitą zasłonę dla mych oczu. I one milczały — i była cisza, ogromna cisza. Wtem ziemia się zatrzęsła i słońce nagle zgasło, a z mojej piersi krzyk wypadł. I nie wiem nic, i nie wiem jak, — lecz byłam tam, gdzie na krzyżu umierał Syn Maryi. Na płaszczu chmur widziałam ciało jego jasności księżycowej — słyszałam krzyk jego matki, widziałam łzy Jana i ciebie, wypłacającego srebrniki.

Dreszcz przeszedł po ciele Assyki. I Harus drżał.

— Byłże to sen, widzenie — ciągnęła dalej Assyka, nic nie wiem. Gdym oczy otwarła, już owa straszna noc przeszła, ale słońce krwią płakało. Sługi moje leżały w omdleniu, a przedemną stał Chrystus.

— Nie, nie — wyszeptał Harus. — On umarł tam na Golgocie. Zobaczyłaś widmo, cień, sen własnej duszy, marę nieprzytomnych zmysłów.

— Zacoście wy go zabili? — spytała Assyka.

Harus do sług się zwrócił:

— Precz!

Assyka powtórzyła pytanie. Harus na siedzenie padł niemal.

— Przestępca — wyszeptał.

— Że chorych leczył, ociemniałym wzrok wracał, mówił o życiu wiecznem?

— Bluźnierca — dodał Harus.

Assyka uklękła u stóp jego.

— Ojcze! Uwierz, że on był Synem Bożym.

Harus się zerwał.

— Czyś ty oszalała?

— Widzisz, że mówię przytomnie.

— Bóg dający się zabijać?!

— Ażeby z martwych powstać i tem zwycięstwem śmierci stwierdzić bożą moc swoją.

— I ty w to wierzysz?

— On mówił.

— Słowo a czyn, to są dwie rzeczy zupełnie różne. I ja powiedzieć mogę, że dotknięciem palca swego słońce z nieba zrzucę — ale czy to wykonam?

— A jeżeli On zmartwychwstanie?

— Nie szalej.

— A jeżeli On zmartwychwstanie, czy ty uwierzysz? — powtórzyła Assyka.

— Nie męcz głupiem pytaniem rozumu mędrca...

Ale, jeżeli mimo niewiary twojej, — odezwała się znów Assyka, — mimo sądu rozumu twego... On zmartwychwstanie?...

— Wyproszę straż u Piłata, by go nie wykradziono z grobu — i sami postawimy straż mocną, a wtedy wiara twoja padnie.

— Zbudzi się twoja.

— Szał cię opętał — zawołał Harus.

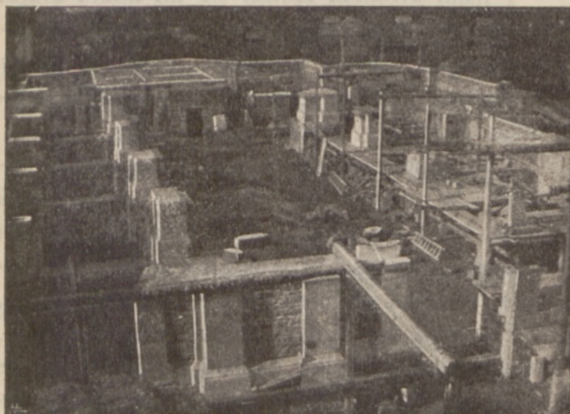
— Trzy dni — niewiele czekać ojcze — tylko trzy dni.

— Trzy dni — powtórzył Harus — to wieków trzy na takie oczekiwanie.

Słońce zbladło i zwykły mrok wieczoru opadł na ziemię.

To wszystko, co towarzyszyło zgonowi Syna Maryi, zdawało się snem już nigdy niepowtórzonym. Tłum nie dociekał przyczyn, powoli strach go opuszczał, i wracali ludzie do zwykłych zajęć i trosk codziennego życia. Tylko w duszach kapłanów i Faryzeuszów niepokój zdwajał się z każdą chwilą. Ukrzyżowany spoczynku im nie dawał — miał zmartwychwstać — wiedzieli o tem. I chcieli, by te trzy dni Chrystusowe albo przeszły szybko jak sen, albo się nigdy nie skończyły. Nie wierzyli w tryumf, i bali się tryumfu Ukrzyżowanego. Harus nienawidził Jezusa, jako tego, którego umiłowała Assyka. Zrazu nie wiedział nic o tem;

ale gdy raz wystąpił z potępieniem Syna Maryi, ukochane, jedyne jego dziecko stanęło w obronie znienawidzonego. Harus milczał, lecz córki już



Kościół św. Rodziny we Florencyi.
Obecny stan robót (Zdjęcie błyskawiczne z przodu).

z oka nie spuszczał. Otoczył ją strażą, ale umiała ona uśpić czujność straży, i gdy Harus zagłębiał się w księgach Pisma, ona karmiła serce żywem słowem Chrystusa. Nieraz, gdy mówił z nią, dusza jej zdawała się odrywać od ziemi, biegła w światy nieznane, pełna widzeń i marzeń niebieskich. Otaczał ją czar nieśmiertelności, w którą nie wierzył Harus. Czuła obecność Boga przy sobie, co on uważał za grzech bluźnierstwa.

Raz u studni Jakóba spotkał Assykę z Jezusem. Gniew go uniósł, ale go pokonał wzrok Syna Maryi.

O! — tego wzroku nigdy nie zapomni. Nie było w nim błysku gniewu, tylko moc spokoju, przed którym uczuł się bezsilnym.

Nienawiść więc jego wzmogła: Assyka stanęła po stronie Nauczyciela.

Zagroził jej klątwą.

— Klnij — rzekła.

Zastraszył śmiercią.

— Zabij — powiedziała.

Harus opuścił dłonie. — Zwyciężył syn cieśli. Mężowie i kobiety szli za nim.

— Bóg — powtarzały tłumy.

— Bóg — szeptała córka Harusa.

A cuda się mnożyły, a serce Assyki odwracało się od ojca, lgnąc do sprawcy tych cudów.

Harus postanowił zgubić Jezusa — lecz lękał się tłumów. Nie widział winy jawnej, a bez tej tknąć go nikt nie śmiał. Zachodził Mu więc często drogę, gdy kazał, rzucał pytania lisie, by wyłudzić odpowiedź potępiającą. Raz cesarski pieniądz pokazał, drugi raz jawnogrzesznicę przed oczy mu stawił. Odpowiedź na pieniądz z twarzą Cezara miała Go zgubić w oczach rządu rzymskiego, równie jak przebaczenie winy grzeszącej jawnie w oczach ludu, chcącego ukamienować ulicznicę.

Sam pierwszy miał głaz cisnąć, lecz Jezus rzekł:

— Jeśliś bez winy!

Bez winy!... Któż bez winy?...

Czoło Harusa oblało się purpurą — kamień z rąk wypadł. Była chwila, że gniewem wściekły chciał raz wymierzyć, ale uczuł w głębi swojego ducha trwogę niezmierną, i zdało mu się, iż głaz rzucony w pierś tej niewiasty, wróciłby



Kościół św. Rodziny we Florencyi.
Obecny stan robót (Zdjęcie błyskawiczne z tyłu).

z połowy drogi i wracając, własnąby jego pierś roztrzaskał. Pokornym nie był, a upokorzyć się musiał: uważano go za męża bez skazy, a głazu nie mógł cisnąć. Czuł gniew bezsilny

w sobie: czuł piekło w sobie. A Syn Maryi nauczał jawnie na placach miasta, w krużgankach świątyni, na wzgórzach okrytych wonnemi drzewami oliwy.

Dawno już potępili Go kapłani i Faryzeusze, i ci, co nie wierzyli w ducha; ale schwytać go nie mogli, bo za Nim ciągnął tłum wielki. — Gdyby go podejść, gdy sam był, lub w otoczeniu kilku uczniów zaledwie. Ale jak tego dokonać? gdzie Go znaleźć? Kto Go wyda, i za jaką cenę wyda?

Lecz gdy czas się wypełnił, znalazł się Judasz Iskaryota, a znając nienawiść Harusa, poszedł do niego. I dobili podłego targu, i Harus pieniądze wypłacił zdrajcy i rad był, że Ten, co nieśmiertelność głosił, haniebną śmiercią zginie.

Piłat nie znalazł w Nim winy — ręce umył — Chrystusa wydano Żydom.

Harus z niepokojem oczekiwał godziny wyroku. Assyka wiedziała, że Jezusa ujęto, lecz ojciec ją zapewniał, że sąd łagodny będzie.

W dzień śmierci Jezusa wezwał sługi i służebnice swoje, i pod karą rózg zakazał mówić o tem dziewczęciu, pod straż im oddanemu. Milczeli jak groby: lecz tajemnicę zdradziło drżenie ziemi, ciemność nagła i krew słońca. Harus myślał, że śmierć Chrystusa położy kres żalowi Assyki, a ona uwierzyła w jego Zmartwychwstanie i na prośby, błagania i zaklęcia ojcowskie z ogromnym spokojem wiary odpowiadała:

— Trzy dni!

— Trzy dni — szeptał Herus — i zapomni.

Nie wierzył w moc dźwignięcia się z grobu ani on, ani jemu podobni. Nie wierzyli, a jednak myśl o tym dniu trzecim dokuczała im, jednak grób naznaczyli pieczęcią; nie wierzyli, a jednak postawili straż. — Można rzec, że Harus czuwał u grobu, bo kilkakrotnie dniem i nocą biegł tam.

— Czuwajcie — mówił do strażników, i przykładał ucho do skały, gdzie Chrystus był złożony, nasłuchując, czy się co we wnętrzu grobu nie rusza. Lecz cicho było — zmieniona straż czuwała, a miecze u boków i włócznie w rękach błyszczały.

Harus odchodził uspokojony, dusząc w piersi czkawkę śmiechu z głupoty wierzących, a śmiejąc się tak, do stróżów się zwracał i rzucał rozkaz:

— A czuwajcie, by nie powstał!

I lisim krokiem zbliżał się do domu Matki Jezusowej, gdzie zbierali się uczniowie Ukrzyżowanego. Chciał posłyszeć płacz biegnący z wnętrza i słowa rozpaczy — posłyszał natomiast modlitwy, szept i śpiew cichy.

I na modlitwie dni i noce przepędzała Assyka. W oczach nie miała łez, tylko jakiś blask bił z ich głębi: twarz była alabastrowej bladości i jasności przedziwnej, jakby ją z wnętrza oświetlał płomień palącej się tam lampy.

Skończył się dzień sabatu: usnęło miasto, usnęła ziemia. Tylko kapłani i Faryzeusze nie mieli snu, tylko Harus pobiegł do grobu Jezusowego.

Straż czuwała, pieczęci nikt nie tknął. — Przyłożył ucho. Cisza...

Blady świt był na niebie, gdy wrócił do domu uspokojony zupełnie. Ale zaledwie pszestąpił próg, gdy z komnat swoich wypadła Assyka z krzykiem ogromnym:

— Jezus Zmartwychwstał!

Harus drgnął strasznie i porwał dziewczę za ramiona.

— Szatan cię opętał — zawołał pełen przestrachu.

Ale Assyka drżała jakiemś drżeniem radości i urywanym szeptała głosem:

— Grób pękł... straż padła twarzą na ziemię... Jezus zwyciężył śmierć. Harus w tył się rzucił i wybiegł jak oszalały, a gdy wybiegał, słyszał za sobą wołanie Assyki:

— Uwierz w Chrystusa!

Upłynęła długa godzina nim Harus powrócił. Assyka słyszała chód ojca; szedł jak pijany, opierał się o drzwi i okna, a twarz miał bladą, skrzywioną kurczem okropnym.

— Co tobie jest? — zawołała.

Harus zatoczył się aż na środek komnaty, drżący, straszny; głowa mu się trzęsła, białe kości zębów szczękały głucho.

— Grób pusty — zacharczał.

Assyka padła mu do nóg.

— Uwierz w Syna Maryi! — Zawołała.

— Co?... Ja?... ja mam wierzyć w cud podobny? — A co powie rozum mój! — a strawione lata nad księgami mądrości?... A śmiech

uczonych w Piśmie, a przyszłość moja, a wypłacone Iskaryocie pieniądze?... Czem mi zato zapłaci Syn Maryi?

— Przebaczeniem win, żywotem wiecznym.

— Wieczność... wyszeptał Harus. — Gdybym ją czuł?

— Uwierz...

— Nie mogę!

— Czy nie słyszałeś drżenia ziemi, gdy Jezus skonał?

— Słyszałem.

— Czy nie widziałeś ciemności, która ogarnęła świat?

— Tak... słońce okropnie zczerniało.

— Nie rozdarłaż się z szelestem zasłona w świątyni Bożej?

Rozdarła się z głuchym szelestem.

— Czy groby nie pękły?

— Pękły groby.

— Cóżeś ujrzał teraz w skale, gdzie Jezus był złożony?

— Straż powaloną na ziemię, pieczęć złamaną, grób pusty.

— I nie wierzysz?

— Nie wierzę!... Tamto było złudzenie zmysłów, to... szalbierstwo uczniów Jezusa. Nie wierzę!...

Powiał szum cichy, jakby lekki wiatr się zerwał i westchnął. Jakieś ożywcze tchnienie wiosenne przeszło szelestem tajemniczym i wionęło zapachem róż. Harus i Assyka obejrzeli się wokoło. — W ogrodzie drzewa oliwne stały nieporuszone, a wiał wiatr jakiś i napędzał cudowną woń kwiatów.

— Jakiś zapach — odezwał się Harus — czy czujesz ty tę woń kwiatów? Odetchnął całą piersią. Skąd ten powiew rozkoszny, napełniający pierś moją jakiemś tchnieniem nieskończonej błogości?... Assyko! — zawołał, widząc oczy jej rozszerzone, świecące blaskiem nieziemskim — co to jest Assyko?

— Chrystus przyszedł... jest tam!... Patrz, patrz, woła na mnie!... Idę... Panie, mój Boże, mój oblubieńcze, Zbawco świata...

I jak senna postąpiła za wzywającym ją a niewidzianym przez Harusa duchem; i gdy odchodziła od ojca, za nią popłynęły wonie kwiatów i owo tchnienie ożywcze, które przed chwilą napełniało rozkoszą pierś mędrca.

Harus za pierś się chwycił, jakby ją zdławić coś miało.

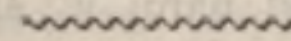
— Stój — zawołał — naco mi zabierasz tę woń, to tchnienie rozkoszy? Ale Assyka nie słyszała tych słów, szła za widmem, wołającem ją za sobą. Z piersi Harusa wypadł ryk okropny, za czoło się porwał, za serce chwycił. — Duszę się... dławię... Tu pustka—tam pustka!... tchnienia! — zawołał, wyciągając ręce przed siebie — tego tchnienia żywota, którego rozum nie daje, lecz wiara!...

Wił się w mękach zwątpienia, ze strachem nicości grobu... i skonał nieprzebłagany wróg Chrystusa.



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy Salezyańscy w miesiącu maju.



POMOCNICY Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu maju następujące odpusty:

A — *Zupełne:*

a) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

b) Raz na miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

c) Również raz na miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. *dobrej śmierci.*

d) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Sercu Jezusowemu.

e) W dzień Objawienia się św. Michała Archanioła (8. maja).

f) W Wniebowstąpienie Pana naszego Jezusa Chrystusa (24. maja).

B) — *Cząstkowe:*

Odpust *siedmiu lat i tyluż kwadragen:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu.

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.

c) Odpust *trzystu dni*, ilekroć wzbudziwszy co najmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny.

Wszystkie powyższe odpusty ofiarować można za dusze w czyścu cierpiące.

*

MISYE SALEZYAŃSKIE

List z podróży Misyonarzy wysłanych do Indyi.

Z parowca *Raffaele Rubattino*, 20. XII. 1905.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY OJCZE!

PRZYBILIŚMY wczoraj do rozkosznych brzegów sycylijskich, i dziś bawimy w Mesynie. Podróż była przyjemna i wesoła: od nikogo z nas nie zażądało dotąd może swego haraczu. Jedynie towarzystwo nie było koniecznie doborowe: jedzie z nami cały klub wysłanników angielskiej „*Salvecion Army*"(armii zbawienia), udających się do Indyi celem czynienia tamże propagandy.

Nim ostatni skrawek naszej pięknej ojczyzny rozpłynie się przed nami w sinej mgle horyzontu, ślemy Ci, drogi Ojcze, z ostatniem *Vale* wyrazy pełnego poddaństwa i synowskiego afektu, prosząc w zamian o Twoje błogosławieństwo i modlitwę.

Port Said (1), 14. XII. 05.

Na dziś rano zapowiedziane było przybycie do Port-Said. Jeszcze przed godz. 4-tą wyległo co żyło na pokład. Głośne hura! powitały pierwsze blaski olbrzymiej latarni, skoro zdołały przedrzeć się do nas przez gęstą oponę mgły porannej. Niebawem wyłonił się z tejże szarugi port: w świetle potężnych reflektorów, które od czasu do czasu zwracały na nas swe ogniste źrenice, płonął jak w ogniu; za nim grubymi konturami rysowały się na całkiem ciemnem tle sylwetki domów i owianego nocą miasta, bokami zaś rozpływało się wszystko w czarodziejski krajobraz. Na lekko pomarszczonej szybie wód błyszczały milionami skier i kolorami tęczy różnobarwne lampy elektryczne, tak że nie łatwo było ognać się złudzeniu, jakoby morze gorzało. Była godzina piąta, gdy nasz parowiec oznajmił przeraźliwym świstem swe przybycie do portu. Miasto, dotąd w śnie pogrążone, przebudziło się jakoby na umówiony sygnał, i odpowiedziało poważnym głosem dzwonów, grzmiących ze smukłych wieżyc na Anioł Pański zrazu pojedyńczo, potem coraz to pełniejszym chorałem. Była to chwila wzniosła i pełna powabu dla nas: jakże mile brzmią te dźwięki po sześciu dniach niepewnego kołysania się na bezdennych i bezbrzeżnych nurtach! A dzwony wciąż dzwonią i nie myślą ustać: bo to przecie dzisiaj Wigilia.

Podróż mieliśmy w dalszym ciągu wyborną: sami majtkowie twierdzą, iż rzadko miewają wody tak spokojne. Zdrowie służy wszystkim, i stale. — Dziś rano msze św. odprawiliśmy w kajucie, gdyż salon pierwszej klasy, który w inne dni grzeczny kapitan oddawał do naszej dyspozycyi, zapełniony jest dziś bezustannie przez tłum ciekawych, zwiedzających okręt. Zato odprawimy tam jutro pasterkę. Zaprosili się już na nią nieliczni zresztą pasażerowie katolicy. Nie mając wszystkiego po temu, by odprawić uroczystą sumę, zadowolimy się mszą św. cichą, upiększoną chyba śpiewem kilku motetów z towarzyszeniem harmonium.

28-XII. 05.

Jesteśmy w podróży po Morzu Czerwonem; piszę na okręcie, aby list oddać na pocztę skoro przybędziemy do Aden. Morze zawsze spokojne, horyzont pyszny, okręt mknie jak strzała. Zdrowie wszystkich wyborne. Święta Bożego Narodzenia przeszły nam szczęśliwie i względnie bardzo wesoło. Piszący odprawił o północy pasterkę. Jak to już pisałem, wznieśliśmy ołtarz w salonie pierwszej klasy. Przystroiliśmy go jak mogliśmy najpiękniej, i rzeczywiście wyglądał jeżeli nie wspaniale, to przynajmniej schludnie i przystojnie. Wśród wesołych śpiewów i gwarów przepędziliśmy resztę tego świętego i pełnego wspomnień dnia. Wielka była również radość kilku pasażerów

(1) Port Said, miasto w Egipcie, założone dopiero w roku 1860 u północnego ujścia kanału Suezkiego, posiada 53 metry wysoką latarnię morską, której światło elektryczne widzialne jest z odległości 20-tu mil morskich (=37 kilometrów). Liczba mieszkańców wynosi około 36.000, w tem 12.000 Europejczyków. Do portu zawija rocznie 4000 okrętów. (Dop. R.).

katolików, że mogli wziąć udział w nabożeństwie, co zresztą nie dziwne, jeżeli się weźmie pod uwagę tradycyonalność uroczystości, a zwłaszcza bezustanne wiszenie nad przepaścią, które niezwykle usposabia do modlitwy. Przybyli także niektórzy ze służby okrętowej, gdyż większa część ekwipażu była skonsygnowana cały dzień z powodu niebezpiecznej żeglugi w kanale Suezkim (1), gdzie co chwila konieczne były nużące manewry, by dać wolny przejazd innym okrętom pędzącym w przeciwnym kierunku.

Klimat już na tej szerokości gorący, upały prawie nieznośne, pomimo blizkości wody. Poprzebieraliśmy się w nasze ubrania letnie, a jednak i one ciążą nam co niemiara. We wszystkich salach wirują wściekle elektryczne wentylatory, ale i to nic nie pomaga. Jedyny chłód panuje w nocy: to też wielu z pasażerów używa go po całych nocach na pokładzie. My co wieczór upajamy się parę godzin świeżem tchnieniem fal, przesyconem słoną wilgocią, która osiada na ustach, odmawiamy nasze pacierze, śpiewamy, a potem gawędzimy o naszej przyszłej misyi, o kraju, a najczęściej o naszych kochanych Przełożonych.

Aden (2), 30. XII. 05.

Od paru dni wschodni wiatr sprzeciwiał się naszemu okrętowi, lecz Rubattino dzielnie stawał; pomimo to spóźnił się nieco i dopiero dziś o godz. pierwszej po północy stanął w porcie Aden. W kajucie nie można spać, bo gorąco nieznośne, a do tego hałas dokoła aż głuszy. Wychodzę tedy na pokład i przypatruję się ciężkiej pracy majtków i służby okrętowej. Olbrzymich rozmiarów paki spadają do łodzi, inne są przez windy podnoszone w górę, poczem i one z trzaskiem lecą w dół na spód okrętu. Niejedna jęknie, niejedna się całkiem rozbije, a wtedy słyszysz jedynie straszną klątwę i jeszcze gorsze wrzaski.

Około godz. trzeciej nader miłą niespodzianką był dla mnie list adresowany do mnie od J. Eks. ks. Biskupa z Meliapor, który tą drogą przesyłał nam swe pierwsze pozdrowienie... Wyraża nadzieję, iż będzie nas mógł uściskać dnia 9. stycznia, na uroczystym obchodzie 300-nej rocznicy założenia jego dyecezyi. Będziemy tam wtedy na pewno, gdyż po podróży ze wszech miar tak szczęśliwej, nie będziemy potrzebowali zbytniego odpoczynku w Bombay.

Kiedyż odjadą współbracia do Makao?

W Bombay (1). — Po mieście. — Przybycie do Meliapor. — Serdeczne przyjęcie.

Bombay, 6. stycznia 1906.

Wczoraj o jedenastej przed południem zarzucił Raffaele Rubattino kotwicę w porcie miasta Bombay, witanego głośnymi okrzykami przez podróżników. Wydostawszy się szczęśliwie na ląd, skorośmy uczuli stały grunt pod nogami, i to grunt tej *ziemi obiecanej*, która nam tylokrotnie w ojczyźnie w marzeniach sennych przyświecała, a w czasie długiej podróży prawie wyłącznie umysły nasze zaprzątała, gorąco dziękowaliśmy Bogu za przyjemną podróż; następnie wyraziłem kapitanowi szczerą podziękę za grzeczność i opiekę, a odchodząc, nie mogliśmy poskąpić ostatniego spojrzenia na dzielny parowiec, który sapiąc głośno, zdawał się kontent z siebie i dumny z dokonanego dzieła.

W porcie czekał na nas sekretarz ks. biskupa z Damão; sam J. Eks. wyjechał już był do Meliapor na wspomniane obchody jubileuszowe. Poczciwy kapłan podejmował nas bardzo grzecznie i służył nam za Cycerona po mieście. Pierwszą wizytę zamierzaliśmy złożyć

(1) Kanał morski, łączący Morze Śródziemne z Morzem Czerwonem. Długość jego wynosi 160 klm.; szerokość, na powierzchni, 58-100 m., u dna 22 m.; głębokość 8 m. Koszta budowy wynosiły 19 mil. funtów szterlingów (=238 mil. złr.) Olbrzymie to dzieło dokonane zostało przez towarzystwo francuskich, angielskich i austryackich bankierów; inżynierem był Ferdynand Lesseps. Roboty rozpoczęto r. 1858, a w listopadzie 1869 budowa była ukończona i otwarto kanał z wielkiemi ceremoniami. Praktyczna jego użyteczność bardzo wielka, gdyż skraca drogę do Indyi dla okrętów hamburskich o dni 24, dla tryesteńskich o dni 37. Znany już był i w starożytności. Pierwszy raz zabrano się do niego w zamierzchłej przeszłości za Faraonów egipskich, gdy to przy jego budowie dla braku odpowiednich przyrządów straciło życie około 120.000 ludzi. W ciągu następnych wieków odrestaurowywano go aż sześć razy, i dopiero osławiony wiek XIX-ty może się poszczycić utrwaleniem tego tytanicznego dzieła.

(2) Miasto angielskie, położone na półwysepku tegoż imienia, na południowym krańcu wybrzeża Arabii. Przez swoje położenie nad cieśniną Bab el Mandeb, jest jedyną bramą z morza Czerwonego do morza Indyjskiego, i stanowi ważny punkt strategiczny. Nie ustępuje w niczem Gibraltarowi, jeżeli go nie przewyższa liczbą i siłą fortów. Słynęło w czasach starożytnych i średniowiecznych z rozkosznego klimatu i ożywionego handlu.

(1) Mów Bombé, miasto stołeczne prowincyi tegoż imienia w Indyach przedgangesowych w tak zwanem „cesarstwie Indyjskiem,“ podlegającem Anglii. Ma dogodny port, i jako pierwsza stacya komunikacyi z Lewantem jest ogniskiem handlu i siedzibą najbogatszych bankierów Indyjskich.

miejscowemu ks. Arcybiskupowi; niestety, nie mógł nas przyjąć, gdyż obłożnie chorował od kilku dni. Następnie byliśmy u OO. Jezuitów, którzy mają tutaj wspaniały gmach, przeznaczony na internat, i publiczne szkoły normalne i średnie. Uczęszcza do nich przeszło 1400 alumnów. Gdzieindziej utrzymują ci zakonnicy wszechnicę, obok szkół zawodowych i ochronek dla sierot. Dowiedziałem się również, iż tu w Bombay dają oni przytułek misyonarzom udającym się w głąb Indyi.

Bombay jest wspaniałem miastem, liczącem przeszło 800.000 mieszkańców. Są tu pałace, jakimi nie każde miasto stołeczne Europy poszczycić się może; zwłaszcza gmachy publiczne, to jeden w drugi istne dzieła sztuki architektonicznej. Na ulicach ruch ożywiony; lecz co za dziwna mieszanina ras i kostyumów! Obok wymuskanego elegancika, noszącego surdut według najnowszego kroju mody paryskiej i sezonowy krawat, ujrzysz obdartego, półnagiego, niepodobnego do boskiego stworzenia Sudrasa, z całą skalą pośrednich stanów bardzo rozmaitą i w wysokim stopniu interesującą. Koń należy tu do rzeczy zbytkownych, gdyż w zaprzęgach widać prawie wyłącznie krowy. Gdyby tak która z naszych poczciwych krówek wiejskich ujrzała swoją współplemienniczkę ubraną w srebrzysty chomąt i kłusującą ociężale przed lśniącą karetą z liberyami i herbami, czyż nie stanęłaby jak wryta, i nie narzekała na przewrotne czasy? Lecz obok tych iście indyjskich konwojów, nie brak wygodnych pod każdym względem tramwajów elektrycznych.

San Thomé de Meliapor, 8. I. 1906.

Deo gratias! Dziś rano o ½ do 8^{mej} stanęliśmy na stacyi w Meliapor. Jeszcze nam pozostaje jakie 12 godzin koleją, a będziemy na naszem stanowisku w mieście Tanjore, znajdującem się we wnętrzu kraju.

Tymczasem atoli wypadło nam zatrzymać się w Meliapor, rezydencyi biskupiej Mons. Emanuela Vieira de Castro, który nas tudotąd sprowadził. Bardzo to sobie schludna mieścina, a obecnie z okazyi obchodów strojna bogato, o wyglądzie nader wesołym. Ze wszystkich gmachów trzepocą chorągwie, flagi narodowe i obce; ulice, wychodzące na plac katedralny, zamknięte wspaniałemi bramami tryumfalnemi, zdobnemi w napisy. W mieście wre jak w ulu; mnóstwo bryk i karet z trudnością przesuwa się przez gęste masy ludu. Mówią, iż już 15-tu biskupów przybyło, i że wielu ich jeszcze nazajutrz miało przybyć. Niektórzy nie zrazili się odległością 1500 kilometrów.

Odprawiliśmy msze św. w kościele katedralnym, następnie zaprowadzono nas do tymczasowego mieszkania. Zaledwie zdołaliśmy się w niem rozglądnąć, zajechał parokonną karetą ks. Biskupa jego sekretarz, wzywając nas do pałacu. Wsiadamy bez namysłu, i za chwil kilka jesteśmy w objęciach naszego protektora i drugiego ojca w tych odległych krajach. Po nadzwyczaj czułem przyjęciu przedstawił nas zebranym biskupom, z których kilku poznaliśmy swymi rodakami. Był np. Mons. Vigano, Bergamczyk, zasiadający na stolicy w Hyderabad; był biskup miasta Wizagapatam, który niegdyś był w Turynie i zwiedzał nasze Oratoryum. Wszyscy mówią prawie wyłącznie po francusku.

W czasie obiadu zasiadaliśmy tuż obok prałatów; przy końcu wypowiedział Mons. Vieira następujący toast powitalny: „Witam w mej dyecezyi Zgromadzenie Salezyańskie w osobie przedstawiającego je ks. Jerzego Tomatis, i wyrażam życzenie, aby mogło tutaj w Indyi rozwinąć takąsamą błogą działalność, z jakiej słynie w Europie.“ Na to powstali wszyscy biesiadnicy i spełnili kielichy na pomyślność synów ks. Bosko.

Po skończonej uczcie mogłem porozmawiać poufale z niektórymi prałatami. Nie szczędzili mi rad ojcowskich i słów zachęty. Bodaj siły nasze zdołały odpowiedzieć godnie nadziejom, jakie się tutaj przywiązuje do naszego przybycia!

Opowiadano mi, iż uroczystości ciągną się bez przerwy od ośmiu dni. Wczoraj miał ks. Biskup zastawić stół dla przeszło 1000 starców; dziś sam widziałem, jak rozdawano na jego koszt sukno na odzież dla tyluż ubogich. Czegoż nie będzie świadkiem dzień jutrzejszy, gdy obchody, a zatem i ochota, dosięgną zenitu?!

Najpóźniej za trzy dni wyjeżdżamy w kierunku Tanjore. Stamtąd nie omieszkam drogiemu Ojcu napisać.

(*Dokończenie nastąpi*).

WIADOMOŚCI POTOCZNE

EUROPA.

DASZAWA. — W niedzielę dnia dwudziestego pierwszego stycznia obchodziliśmy doroczną *uroczystość św. Rodziny,* Patronki naszej kaplicy. Odpust ten wypadł tą razą o wiele wspanialej, niżli roku ubiegłego.

Miejscowa ludność przystąpiła tak licznie w dniu tym do ŚŚ. Sakramentów, iż nasi księża z ledwością zdołali wysłuchać wszystkich spowiedzi. O godz. 10tej rozpoczęła się uroczysta suma, którą odśpiewał Przew. ks. prałat Jan Trzopiński. W czasie sumy wygłosił przygodne kazanie wielce nam oddany ks. Klein, czcigodny proboszcz z Machlińca, poblizkiej kolonii niemieckiej. Z południa o godz. 3ej odbyły się niemniej uroczyście nieszpory z procesyą, po których zostało urządzone z niebywałem dotąd powodzeniem przedstawienie teatralne. Największy efekt zrobił na wszystkich « *Szatan* » (szkic dramatyczny na scenę w 1.akcie), w którym nasi amatorzy bardzo trafnie umieli oddać tak wewnętrzną walkę człowieka kuszonego, oraz piekielne sztuczki i podstępy szatana, aby upatrzoną sobie duszę zgubić, jako też wszystkie wysiłki Anioła Stróża, aby ją ocalić. Sztuka ta nietylko wywarła na wszystkich głębokie wrażenie, ale odniosła jak najpożądańszy i widoczny skutek moralny, zwłaszcza wśród naszych tłumnie zebranych Mazurów-kolonistów.

Jeszcze pomyślniejszy przebieg miała tu w dwa tygodnie później *uroczystość św. Franciszka Salezego,* głównego Patrona naszego Zgromadzenia. Święto to odłożone na dzień 4go lutego, zostało poprzedzone przez dziewięciodniową nowennę. W wigilię uroczystości, wieczorem o godz 5tej, odbyły się uroczyste nieszpory. W sam dzień święta piękny widok przedstawiała kaplica. Nad prezbyteryum bowiem były symetrycznie rozwieszone w pełnych i estetycznych łukach dwubarwne draparye, które całej kaplicy nadawały widok wspaniały i imponujący. Ołtarz zaś, który dotąd był bardzo ubożuchnym i prawie pustkami świecił, — dziś po raz pierwszy uderzał w oczy każdego wchodzącego do kaplicy nowymi, mosiężnymi lichtarzami, które dzięki dobroczynności przezacnego naszego Dobrodzieja, ks. prałata Trzopińskiego i niektórych czcigodnych parafian, stały się nie tylko zaspokojeniem istotnej potrzeby, ale są też niemal jedyną prawdziwą ozdobą ołtarza.

Już od wczesnego rana wielka liczba gorliwych parafian przystąpiła do Stołu Pańskiego. O godz. 8ej w czasie wspólnej Mszy św. przyjęli Chleb Anielski wszyscy nowicyusze i wychowankowie zakładu. Dwie godziny później rozpoczęła się suma z asystą, podczas której nasza *Schola cantorum* wykonała jak zwykle mszę w śpiewie gregoryańskim. Występowała też orkiestra smyczkowa, odgrywając wdzięczne i pełne nastroju religijnego preludya. *Infra missam* miał do tłumnie zebranego ludu długą przemowę ks. Kozak, Salezyanin. W przemowie tej, która miała być jakby konferencyą dla Pomocników Salezyańskich, mowca starał się w słowach dosadnych zaznajomić licznych swych słuchaczy z głównym celem Zgromadzenia Salez.; powtóre — przedstawić im, jak ważną rolę w tem Zgromadzeniu odgrywają Pomocnicy i Pomocnice Salez.; wreszcie — w jaki sposób można przychodzić w pomoc ks. ks. Salezyanom w tak ciężkiem zadaniu, jakiem jest wychowanie ubogiej i opuszczonej młodzieży. W końcu przemowy wyłuszczył mowca w sposób szczególny nadzwyczajne potrzeby i wydatki na utrzymanie tutejszego domu nowicyuszów, w których leży niemal cała nadzieja przyszłego rozwoju dzieła salezyańskiego w naszej Ojczyźnie, o ile że oni to właśnie mają prowadzić dalej to dzieło, — a których wychowanie i wykształcenie pociąga za sobą ogromne koszta, tem cięższe dla zakładu, im mniej ten ostatni jest znany, a tem samem wspierany przez ogół naszego społeczeństwa.

Wieczorem, po odbytych nieszporach z kazaniem, uroczystość dnia tego (jak w poprzednie święto) została zakończona przedstawieniem teatralnem.

Nazajutrz odbyło się przepisane regułą uroczyste nabożeństwo żałobne za zmarłych Współbraci i Pomocników Salezyańskich. Chór tutejszej młodzieży wykonał w śpiewie liturgicznym *Missam pro Defunctis,* nacechowaną imponującą powagą, a zarazem stylem pełnym rzewnego uczucia. Cała funkcya wypadła bardzo dobrze i zrobiła na wszystkich głębokie wrażenie.

TURYN — Młodzież Oratoryum św. Franciszka Salezego obchodziła również tego roku z szczególniejszym zapałem miłą dla każdego serca *uroczystość św. Józefa.* Wspaniałości funkcyi kościelnych, nacechowanych głęboką pobożnością, odpowiadała godnie radość objawiająca się wewnątrz zakładu. Suma z asystą odprawiła się w świątyni M. B. Wspomożycielki przy pięknym ołtarzu św. Józefa, którego podobiznę zamieszczamy. Uroczystość zakończono udatnym wieczorkiem muzyczno-deklamacyjnym na cześć św. Józefa oraz X. Dyrektora Oratoryum, któremu wychowankowie i przełożeni chcieli okazać publicznie swą żywą wdzięczność za ojcowską opiekę jaką ich otacza.

**

— Na końcu marca nasi wychowankowie rzemieślnicy odprawiali przez trzy dni rekollecye, na których kazało z wielkim zapałem dwu kapłanów obeznanych znakomicie z wykształceniem i potrzebami duchowemi rękodzielników. Studenci odbyli



Ołtarz św. Józefa w kościele Maryi Wspomożycielki w Turynie.

tę samą praktykę nabożną w pierwszych dniach kwietnia. Niechaj Marya Wspomożycielka nagrodzi obficie prace gorliwych kaznodziejów i uczyni skutecznemi postanowienia naszych wychowanków.

— Po przeszło dwumiesięcznej nieobecności, w Niedzielę Palmową wrócił do Turynu Najprzew. X. Michał Rua z wizyty inspekcyjnej zakładów salezyańskich w Anglii, Hiszpanii i Portugalii. Czcigodny nasz X. Jenerał wyjechał z Oratoryum wczas rano w dzień Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny. Według zapewnienia Przew. X. dra. Józefa Bertello, który księdzu Rua towarzyszył, podróż udała się świetnie pod każdym względem. Ważniejsze szczegóły o niej podamy w następnym numerze.

PEDARA (Sycylia) — **W zakładzie św. Józefa** obchodzono 18tą rocznicę zgonu X. Bosko stosownym wieczorkiem muzyczno-wokalnym.

Do sali teatralnej, przystrojonej barwnemi draperyami, zeszło się dużo wielbicieli dzieł salezyańskich. Na scenie, artystycznie ozdobionej zielenią i kwiatami, i rzęsiście oświeconej acetyleną, umieszczono biust X. Bosko. Po odśpiewaniu hymnu salezyańskiego jeden z profesorów wypowiedział mowę wstępną, poczem nastąpiły odczyty i deklamacye — tak w prozie jak i poezyi — w językach włoskim, francuskim, łacińskim, greckim i narzeczu sycylijskiem. Podziwiano ogólnie wdzięk i zgrabność, z jaką owi młodzieńcy wywiązali się z roli sobie wyznaczonej.

Zabawa wywarła na wszystkich błogie wrażenie i zapaliła w nich płomień gorejącego uczucia dla naszego nieodżałowanego Założyciela.

FLORENCYA — **Kościół św. Rodziny.** — Pierwszą myśl wzniesienia we Florencyi kościoła na *Via Aretina* powziął jeszcze nasz drogi Ojciec X. Bosko. Zniewoliło go do tego smutne położenie moralne, w jakiem się znajdowali nieszkańcy ludnego przedmieścia Najśw. Zbawiciela. Nie było tam ani kaplicy, ani kościoła katolickiego, a zato protestanci zakorzenili się tam nader silnie i czynili szaloną propagandę wśród robotników i robotnic tej dzielnicy. Zamiar X. Bosko otrzymał pełną aprobatę ówczesnego X. kardynała arcybiskupa florenckiego, atoli wykonanie go z różnych względów odłożono na później. Dopiero w r. 1904 zabrano się do dzieła i położono kamień węgielny pod przyszłą świątynię. Prace postępują ciągle naprzód, lecz bardzo powoli — dla braku odpowiednich funduszów: należy się jednakże spodziewać, iż gorliwi członkowie komitetu czuwającego nad budową, zdołają w niedługim czasie i tę trudność usunąć. Wysokość murów dotąd wzniesionych wynosi przeszło dwa metry. — Jakim wspomniany kościół będzie po ukończeniu — a jakim

się przedstawia teraz, można się o tem przekonać z zamieszczonych illustracyi.

MADRYT — J. K. W. Infantka Marya Teresa, w towarzystwie swej damy dworskiej hrabiny de Mirasol zwiedziła dnia 17. lutego szkołę salezyańską w *Ronda de Atocha*, przyjęta radośnie przez dwustu uczniów bezpłatnie do niej uczęszczających. Po krótkiem nawiedzeniu Najśw. Sakramentu w przyległym nowym kościele Maryi Wspomożycielki, Jej Królewska Wysokość zwiedziła poszczególne klasy, które zrobiły na niej dodatnie wrażenie. Następnie przeszła do sali zabaw, gdzie wychowańcy na cześć Dostojnej Wizytatorki wykonali kilka utworów muzyki klasycznej i powitali ją serdecznie. Hołd ten zakończono świetnym popisem gimnastycznym, w którym wzięło udział dwunastu najdzielniejszych młodzieńców. Przed odjazdem J. K. W. wstąpiła ponownie do kościoła i była obecną na błogosławieństwie Przenajśw. Sakramentem. Wychowankowie, którzy przyjęli ją i pożegnali okrzykami najżywszej radości, zostali wielce zbudowani pobożnością i dobrocią tej Dostojnej Pani.

VITORIA (Hiszpania) — **Odwiedziny X. Rua. — Piszą nam:** ,,Po kilku dniach tęsknego wyczekiwania, mieliśmy wreszcie szczęście zobaczyć znowu naszego najdroższego Ojca X. Rua. Na tutejszym dworcu stanął o 6 1|2 wieczorem dnia 22. lutego w towarzystwie X. Józefa Bertello, oraz X. inspektora prowincyi celtyckiej, który dzień przedtem wyjechał po nich do *S. Sebastian*. W kilku minutach doróżka przewiozła ich do naszego zakładu, gdzie powitano X. Rua tryumfalnie wśród sztandarów, radosnych okrzyków, hymnów i mów. Na te objawy miłości X. Rua przemówił serdecznie do owej gromady młodzieży, poczem wstąpił do domowej kaplicy na uroczyste *Te Deum* i błogosławieństwo.

Cały następny dzień zajęty był zwiedzaniem klas, jako też składaniem i przyjmowaniem wizyt. Najserdeczniejszą była wizyta, jaką X. Rua złożył miejscowemu X. biskupowi, który z swej strony przyrzekł oddać mu ją wkrótce w Turynie. Także założycielce zakładu złożył X. Rua wizytę, a następnie przyjął u siebie członków komitetu opiekuńczego tegoż zakładu. Dzień ten zakończono pięknym wieczorkiem muzyczno-deklamacyjnym, na którym pensyonaże i eksterniści współzawodniczyli z sobą w wyrażaniu Przełożonemu Zgromadzenia Salezyańskiego uczuć swej głębokiej miłości i wdzięczności. Gdy zaintonowano dawny hymn turyńskiego Oratoryum: *Pójdźmy, towarzysze, X. Bosko nas czeka*... X. Rua nie tylko przyłączył swój głos do pienia śpiewaków, lecz powstał z miejsca i sam kierował batutą. Wieczorek uwieńczono grzmotem oklasków na cześć X. Bosko, X. Rua i X. Bertello.

Nazajutrz, 24. lutego, najczcigodniejszy X. Rua wręczył każdemu medalik Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki i około południa wyjechał do *Bilbao, Santander, Salamanca*, *Lisbony* i t. d. odwiedzić innych swoich synów...''

UTRERA (Hiszpania) — **XXVtą rocznicę założenia kollegium M. B. Szkaplerznej** obchodzono godnie 16. lutego, łącznie z uroczystością św. Franciszka Salezego. Podczas tryduum głosiło słowo Boże trzech dzielnych mowców, byłych wychowanków tegoż zakładu. Na sumie pontyfikował Najprzew. X. biskup z Lystra, a wychowankowie wykonali mszę w śpiewie gregoryańskim. Kazanie zastosowane do okoliczności wypowiedział Przew. X. Piotr Ricaldone, inspektor domów salezyańskich w Andaluzyi.

Po południu miał miejsce nieodzowny przy takich okazyach wieczorek muzyczno-wokalny, na którym między innemi p. Andrzej de Mora Batanero wspomniał z żywem uczuciem o zgasłym niedawno ś. p. X. kardynale Marcelim Spinoli. Zebrani rozeszli się wśród radosnych okrzyków na cześć Ojca św., który z powodu rzeczonej rocznicy nadesłał telegraficznie swe kongratulacye i apostolskie błogosławieństwo.

Misya Polska w Londynie. — W dzień Zwiastowania M. B., w niedzielę 25go marca r. b., zaroiło się w naszym nowym kościele od przybyłej z rozmaitych, nawet i bardzo odległych części Londynu, publiczności polskiej, a trochę i angielskiej-katolickiej. Świątynia świeżo odnowiona i, według możności, ślicznie przyozdobiona, zabrzmiała o 11ej przed połud. dźwięcznym śpiewem chóru studentów z głównego Domu Salezyańskiego na Battersea, pod wprawną batutą miejscowego Dyrektora Ks. Rabagliatego, przy wybornym akompaniamencie jednego z naszych współbraci kleryków na harmonium, i dwóch innych, służących za bas i tenor; głosy bowiem chłopaków składają się z samych niemal sopranów. Msza była mieszana, o śpiewie gregoryańskim i klasycznym; ten ostatni atoli, pełen powagi, nie stanowił wcale kontrastu z gregoryańskim.

Prześliczne było ,,*Ave Maria*'', odśpiewane w czasie Ofiarowania. Celebrował jeden z naszych współbraci angielskich, Ks. Fayers, artysta-malarz, który podczas odnawiania świątyni wcale fatygi swojej nie żałował, by o całą godzinę drogi koleją po kilka razy w tygodniu przyjeżdżać z Domu na Battersea i kierować robotą malarską. To też po wielu przeróbkach, wynagrodzonym został zadowalającem wykonaniem naszkicowanego przez siebie projektu. Główną ozdobę malatury stanowi *Najsłodsze Imię Jezus*, otaczające wieńcem w pięknych monogramach górną część kościoła, ponad którym to wieńcem widnieje już tylko sam błękit nieba-sufitu, oświetlanego czterema olbrzymiemi lampami gazowemi, zwieszającemi się od niego w kształcie wielkich bani szklanych, które sprawiają, że kościół wieczorem jest równie jasno oświetlony jak w dzień. Przy mszy asystowali ks. Fayersowi, jako dyakon

i subdyakon, ks. Domański i ks. Kalinowski, mając do pomocy kilku młodych Anglików i Polaków, którzy zupełnie zadowalająco z obowiązków swoich się wywiązali. Po *Sanctus* wystąpił, jak to u nas w kraju się praktykuje, szereg mężczyzn ze świecami, w przepaskach *Bractwa św. Józefa*, niegdyś przy misyi przez poprzedników naszych ustanowionego. Kazanie w czasie sumy wypowiedział Ks. Kaszyca, umyślnie w tym celu przybyły z Oświęcimia i, doprawdy, przybyły nie napróżno, bo tak umiał poruszyć serca słuchaczy, że w niejednem oku zabłysła łza, wszystkich zaś owionął tchnieniem naszego polskiego, rodzimego ciepła. Zachęcał do solidarności, do wzajemnego wspomagania się przedstawicieli wszystkich trzech dzielnic naszego kraju, na bruku londyńskim zgromadzonych; do wspomagania Ks. Proboszcza w jego pracach, dla dobra dusz współbraci ochotnie podejmowanych; zakończył zaś swą naukę osobistem zebraniem kolekty, za co go publiczność hojnie wynagrodziła. Po sumie lud, jak to bywa i u nas, wyszedłszy na ulicę, zebrał się przed kościołem i długo sobie gwarzył, nie śpiesząc do domu, tak mu widocznie miło było cieszyć się nowym kościołem i spotkanymi współbraćmi.

Wieczorem o 6ej na nieszporach ponowne zgromadzenie się, jeszcze liczniejsze niż przed południem, a to dla dwóch powodów: najprzód, że z rana łatwiej pośpieszyć na mszę św. do bliższego kościoła; powtóre, niejeden odłożył bytność swoją na nieszpory, by ujrzeć i posłyszeć J. E. Ks. Arcybiskupa Westminsterskiego, który był tak dobry, że pierwszy dzień służby Bożej w nowym kościele chciał uświetnić swoją obecnością i, nie mogąc przybyć na sumę, ponieważ musiał się znaleźć w tym czasie gdzieindziej, przybył na nieszpory, by przemówić po raz pierwszy do licznie zgromadzonego polskiego odłamu swojej owczarni. Ks. Arcybiskup Bourne odznacza się pewną, bardzo miłą cechą charakteru kapłańskiego, mianowicie umiejętnością wszechstronnego zastosowania się do różnych narodowości; jest bardzo wykształcony, stąd łatwo umie zrozumieć innych i być od nich zrozumiany. Mówiąc, nie posługuje się zbytnim zasobem słów, za to jest dużo treści we wszystkiem co mówi; ma przytem dużo serca, jest szczerym i mówi z przekonania; jest bardzo pobożnym i do Kościoła św. przywiązanym. Pobyt wśród protestantów wzmaga może jeszcze tę miłość; walka z protestantyzmem i protestantami (obecnie o szkoły katolickie) potęguje jego gorliwość coraz bardziej. Ceni i poważa tak bardzo nasze zgromadzenie, że sam chciał niegdyś oddać się pod kierunek duchowny Ks. Bosko, którego miał szczęście poznać osobiście i prosił o przyjęcie do Zgromadzenia Salezyańskiego, lecz Ks. Bosko mu odpowiedział, że tego nie uczyni, bo młodego kleryka, jakim był wówczas Ks. Arcybiskup, czekają inne losy.

Przepowiednia naszego drogiego Ojca i Założyciela sprawdziła się — jak zwykle. Do tego poznania się z Ks. Bosko nawiązał Ks. Arbp. w przemowie swojej ten ustęp, w którym wspomniał o zaofiarowaniu przez siebie polskiej misyi naszemu Zgromadzeniu; mówił, że uczynił to śmiało, ze względu na przeszło 20-letnią znajomość Zgromadzenia. Przedstawił trudności, przez które misya polska w Londynie przechodzi, zachęcał Polaków do podtrzymywania tej misyi i do trzymania się wiary, która, według niego, była jedyną ostoją narodowości w biednej Polsce na kawałki poćwiartowanej. I czy nie miał w tem racyi? Daj Boże, by wszyscy nasi rodacy tak dobrze to zrozumieli, jak ten całkiem obcy nam narodowością, lecz mądry i prawdziwie ,,dobrej woli'' człowiek rozumie. Życzył potem, by jak najobfitsze łaski, wraz z błogosławieństwem N. S. którego za chwilę miał udzielić, na całe zebranie i na całą kolonię polską spłynęły.

I tak się zakończył ten dzień pamiętny otwarcia nowego kościoła polskiego (a zarazem salezyańskiego) w Londynie. Zaraz nazajutrz rozpoczęły się ćwiczenia duchowne dla wiernych.

Prosimy pokornie naszych Pomocników, by w swoich modlitwach, a także i datkach, raczyli pamiętać o tym ważnym posterunku naszym, tu, gdzie tyle przyczyn składa się na to, by wyrzucić z serca naszych współrodaków i miłość Boga i miłość drogiej naszej ojczyzny. O ile pomożecie zachować w tych biednych, kaleczonych sercach pojęcie Boga i ojczyzny, o tyle sam Bóg i taż ojczyzna, w uzdrawianych synach swoich, będą wam sowitą nagrodą.

Adres obecny misyi jest taki:

Rev. G. DOMAŃSKI
Catholic Polish Church
Mercer str. Shadwell
England London E.

AMERYKA.

BUENOS AIRES — Konkurs muzyki kościelnej. — Stowarzyszenie *św. Cecylii*, mające swą siedzibę w zakładzie salezyańskim w Bernal i wydające czasopismo tego samego imienia, ogłosiło przed kilku miesiącami konkurs południowo-amerykański w celu skuteczniejszego odnowienia śpiewu liturgicznego. Wynik tego konkursu był nader chlubny, i w pierwszą niedzielę listopada z. r. w obszernym salonie kollegium Piusa IX. odczytano publicznie nazwiska tych pp. nauczycieli muzyki, których odnośna *jura* uznała za godnych nagrody.

Przewodniczył Najprzew. X. Arcybiskup Espinosa. Akt uroczysty rozpoczął tenże X. Arcybiskup doręczeniem dekoracyi papieskiej *Pro Ecclesia et Pontifice* pp. drowi Aniołowi Pizzarro i Alojzemu D'Abreu. Następnie zabrał głos X. Piotr Rota,

prezes *jury* konkursowej, i mówił o prawidłach, jakich powiniem się trzymać kompozytor muzyki wogóle, a w szczególności muzyki kościelnej. Zaznaczył również, iż *jura* uczyniła wszystko możliwe, aby sąd jej był sumienny, dobrze obmyślony i bezstronny. Zaledwie mowca skończył, powstał p. Ortiz y San Pelayo i odczytał wyrok *jury*, naznaczający pierwszą nagrodę *Te Deum* noszącemu hasło *Laudate Dominum omnes gentes*, pana prof. Brunona Goyenche z Paysandù ; drugą nagrodę przyznano *Tantum ergo*, mającemu za hasło *Christus regnat*, pana prof. Casildo Thompson'a z Buenos Aires.

CORDOBA (Argentyna). — **Położenie kamienia węgielnego pod kollegium Piusa X.** — odbyło się 3. grudnia z. r. w obecności p. gubernatora prowincyi i wielkich zastępów ludu. Odnośnej ceremonii dopełnił miejscowy X. biskup i wypowiedział przy tej sposobności wspaniałą mowę o korzyści, jaką przyszły zakład przyniesie. Wysłano również z tej okazyi telegram do Ojca św., który za pośrednictwem swego sekretarza Stanu kazał odpowiedzieć w tych słowach: « Jego Świątobliwość zadowolony z hołdu złożonego sobie przez położenie kamienia węgielnego pod Zakład sztuk i rzemiosł, błogosławi władzom, duchowieństwu i wszystkim obecnym na ceremonii. »

Z naszej strony życzymy przyszłemu zakładowi takiego pocieszającego rozwoju, jakiego w krótkim czasie doczekała się tamtejsza kaplica świąteczna.

MEKSYK — Rozwój dzieł salezyańskich w Meksyku zasługuje na szczególniejszą wzmiankę. Mamy właśnie przed sobą sprawozdanie z tego, co w ciągu ubiegłego roku z łaską bożą można była zdziałać, i jest doprawdy za co Bogu dziękować. Oto ważniejsze szczegóły: Dziełem najdonioślejszem, jakiego w roku 1905 w stolicy Meksyku dokonano, było wybudowanie wielkiej *kaplicy świątecznej*, oraz inauguracya *szkół wieczornych* dla młodzieży i dorosłych. Kto zna *Kolonię św. Julii*, gdzie istnieje także zakład salezyański, nie może nie ocenić wielkiego dobra, jakie te dwie instytucye spełniają wśród ludu. Rysunek wspomnianej kaplicy jest artystyczny a zarazem wspaniały ; gdy zostanie ukończona pierwsza część gmachu, nie omieszkamy stawić jej przed oczy naszych czytelników. Zakład salezyański w Meksyku (mieście) powiększył się o jedną szkołę zawodową więcej — t. j. szkołę litografii ; wybudował nową kuchnię , śpiżarnię i pralnię ; urządził nową infirmeryę i zaopatrzył wszystkie szkoły zawodowe — a głównie drukarnię — w nowe maszyny. Także nauka umysłowa rozwija się w tych szkołach prawidłowo, nowo zaś powstałą *Szkołę handlową* zaopatrzono dla wprawy i wygody uczniów w ośm maszyn do pisania systemu *Remington*.

— *W Puebli* zaopatrzono istniejące już szkoły zaw. w nowe przyrządy i zabrano się do wzniesienia nowych pracowni. Trzy z nich już ukończono. Po zupełnem wykończeniu nowy gmach będzie prawdziwą chlubą tamtejszych naszych Pomocników.

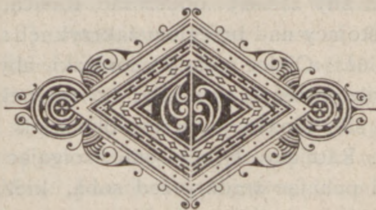
— *W Morelii* położono kamień węgielny pod nowy kościół Maryi Wspomożycielki, i mury jego wznoszą się już na kilka metrów od ziemi.

— *W Guadalajara* otworzono nowy dom dla studentów i rzemieślników, i chociaż jest on dopiero początkujący, mimo to dzięki szczodrobliwości miejscowych pomocników, budzi jak najlepsze nadzieje. Do osiągnienia tych tak świetnych wyników przyczyniła się skutecznie wycieczka agitacyjna jednego z naszych kapłanów, który miewając konferencye salezyańskie po wszystkich ważniejszych miastach rzeczypospolitej, zjednał nową pomoc dla dzieł salezyańskich i pomnożył znacznie liczbę naszych pomocników. Wynika stąd, że konferencye salezyańskie, jeżeli dobrze urządzane , przynoszą ogromną korzyść całemu stowarzyszeniu.

Dla prawdy musimy atoli dodać , iż właściwym powodem tego tak świetnego rozwoju dzieł salezyańskich w Meksyku, jest wzmagające się z dnia na dzień nabożeństwo do Najw. Maryi Panny Wspomożycielki, której piękną statuę, czczoną w tymczasowej kaplicy naszego zakładu w stolicy tego kraju, ma się zamiar ukoronować już w tym roku , t. j. zanim zostanie umieszczona w wspaniałej świątyni, nad której ukończeniem pracuje się obecnie z skrzętnością.

LIMA (Peru). — *Telegram* pod datą 27go marca przyniósł nam miłą wieść, iż *Zjazd Pomocników,* jaki się odbył w Limie z okazyi 300nej rocznicy św. Turybiusza, miał przebieg nader wspaniały.

Bogu niech zato będą dzięki ! — Tamtejszym zaś naszym Pomocnikom zasyłamy serdeczne powinszowanie , iż tak świetnie wywiązali się z wziętego na siebie zadania.





ŁASKI
Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Cudowne wybawienie od niechybnej śmierci.

Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Niepokalanej Pannie Maryi Wspomożycielce dziękujemy niniejszem za szczęśliwe uratowanie najmłodszej dziesięcioletniej córeczki naszej od nagłej śmierci przez utonienie.

Córeczka, chcąc być prędzej w kościele od ojca idącego na przedzie, puściła się przez jeziorko znajdujące się przy wiosce. Ponieważ lód był już bardzo słaby, załamała się na pośrodku jeziorka. Ludzie idący do kościoła, widząc nieszczęście, krzyknęli przeraźliwie. Na odgłos tego krzyku ojciec obejrzał się: ujrzawszy w wodzie córeczkę, zawołał przestraszony o pomoc dla swego ukochanego dziecięcia. Atoli nikt się do tego nie zabierał, bo lód był bardzo kruchy. — Każdy się lękał wnijść na jeziorko Miłość ku dziecięciu skłoniła zatem samego ojca puścić się na lód i ratować córeczkę.

Pewien człowiek z poblizkiej wioski widząc, że ojciec stroskany już z siebie szaty zrzuca i chce iść na ratunek, przeprawia się spiesznie przez płot do blizkiego ogrodu, odłamuje z wytężeniem wszystkich sił jedną z żerdzi i puszcza się z nią na lód, aby przybyć na pomoc tonącej. A że lód mu pod nogami trzeszczał, zawezwał lżejszych ludzi do ratunku; nikt jednak go nie usłuchał.

Wtem siły zaczęły opuszczać tonącą, tak że ludzie stojący nad brzegiem zakrzyknęli: ,,Teraz już tonie!" Ojciec woła do córeczki, aby jeszcze na chwilę wytężyła swe siły, bo ratunek blizki, na co się tonąca jeszcze cokolwiek z wody uniosła. Ratujący tymczasem czołgając się po lodzie i pchając żerdź przed sobą, kierował się ku miejscu nieszczęścia. Nareszcie dotarł tak blizko, że dziewczę mogło żerdź uchwycić i wydostać się z wody. Idąc ku brzegowi do ojca, drugi raz się na słabym lodzie załamuje, z której to niedoli inny człowiek prędko je wyratował, bo na tem miejscu nie było tak wielkiego niebezpieczeństwa jak na pierwszem.

Tonące dziewczę nie wołało wcale (jak się to zazwyczaj zdarza) o ratunek, co wszystkich ludzi zdziwiło; spoglądało tylko na ojca wielkiemi oczyma. Twarz jej z przestraszenia była bardzo blada. Ojciec, prowadząc córkę do domu, pyta się jej, czemu nie wołała o ratunek.

— Nie mogłam — odpowiada, bo się przelękłam i się modliłam.

— Coś za modlitwę odmawiała?

— Ojcze nasz i Zdrowaś Marya...

Oby każdy w niebezpieczeństwie życia udawał się do Boga i Matki Jego Najświętszej, bo ona nikomu swej pomocy nie odmawia. Tylko osobliwej łasce Boskiej i potędze Maryi Wspomożycielki zawdzięczamy wyratowanie naszego dziecięcia z tak wielkiego niebezpieczeństwa. Jej więc niech będzie za to cześć i chwała!

W***, w styczniu 1906.

I. G.
wraz z żoną.

*
* *

Mając skaleczone cztery palce u ręki, mimo zabiegów i kuracyi doktorskiej cała ręka zaczęła mi puchnąć i psuć się. Bardzo łatwo mogło stąd wywiązać się zakażenie krwi; dla uniknienia przeto tego nieszczęścia poleciłem się Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce, prosząc o zachowanie mnie przy życiu. Dobrotliwa Lekarka chorych przychyliła się łaskawie do mych modłów, ręka bowiem zaczęła się natychmiast goić prawidłowo, tak że po dwóch tygodniach byłem już w stanie wrócić do dawnego zajęcia.

Składam więc Matce Boskiej Wspomożycielce Wiernych najserdeczniejsze dzięki za wyświadczoną mi łaskę i proszę ogłosić to w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Nowy Jork (Stany Zjednoczone).

JÓZEF WILOWSKI.

***

Znajdując się w przykrem położeniu i widząc, że siła ludzka nic tu nie pomoże, udałam się do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia wiernych z przyrzeczeniem, że jeśli odwróci grożące mi niebezpieczeństwo, ogłoszę to w ,, Wiadomościach Salezyańskich.'' Matka Najświętsza wysłuchała mnie istotnie, stąd dla uiszczenia się z danego przyrzeczenia składam Jej publiczne dzięki tak za tę łaskę, jako też za wiele innych poprzednio doznanych.

Żółkiew (Galicya).

MARYA K.

Odzyskanie wzroku.

W styczniu b. r. zaniewidziałem nagle z powodu wyrzutu, jaki mi wystąpił na twarzy. Obawiając się, abym całkowicie i na zawsze wzroku nie utracił, poleciłem się Najsł. Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych, przyobiecując, że jeżeli mnie zachowa od tego nieszczęścia, dam to ogłosić we *Wiadomościach Salezyańskich.* — Boskie Serce Jezusowe za przyczyną swej Matki najmilszej wysłuchało dawniej.
mnie najzupełniej, i dziś widzę tak dobrze jak

Dotrzymuję zatem niniejszem danego słowa i załączam datek na odprawienie Mszy św. dziękczynnej.

Stramnice (Wielkie Ks. Poznańskie), 2-2-1906.

WALENTY KOWALEWSKI.

***

Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce Wiernych wyrażam serdeczne podziękowanie za doznanie łaski wyzdrowienia z ciężkiej i nieznośnej choroby. Od sześciu lat miałem na ciele liszaje, które aż czterech lekarzy leczyło, lecz zamiast polepszenia, choroba wzmagała się coraz to bardziej. Wobec takiego stanu rzeczy zacząłem się modlić do naszej Lekarki, Maryi Wspomożycielki, aby mnie samego raczyła natchnąć, jaki środek byłby dla mnie najskuteczniejszy. — Znając się nieco na lekarstwach, przyszło mi na myśl spróbować *Callion jodatum* — i tak też uczyniłem. Po sześciutygodniowem używaniu tego środka wyzdrowiałem najzupełniej.

O tem mojem wyleczeniu proszę ogłosić we *Wiadomościach Salezyańskich.*

N*** (Królestwo Polskie), dnia 3go marca r. 1906.

FRANCISZEK ŁASK.

Dzięki N. M. P. Wspomożeniu Wiernych!

Przed dwoma mniej więcej tygodniami pp. Ł. z Londynu powiedzieli mi, że ich syn jedynak jest bez nadziei życia z powodu powtarzających się po kilkanaście razy na dzień konwulsyi. Dałem im medalik M. B. Wspomożenia i radziłem odprawiać nowennę.

Dziś, we środę, gdy zaszedłem do nich, pani Ł. mówiła mi, że już od niedzieli dziecko nie ma konwulsyi. Ustanie tychże przypadło zatem pod koniec nowenny...

Uciekajmy się do Maryi!

Londyn, 7-2-1906 r.

X. J. K.

Łaska i cud.

W pierwszej połowie sierpnia zachorowałam niebezpiecznie i musiałam się poddać operacyi. Wśród strasznych cierpień prosiłam Najsł. Serce Jezusowe i Matkę Najśw. Wspomożycielkę, abym mogła jeszcze pozostać przy życiu, jeżeli taka będzie wola Boża. Zmówiłam przytem litanię do Najświętszej Panny — i zaraz boleści ustały; czułam jedynie słabość wielką. — Wkrótce potem zapadłam jeszcze w inną chorobę, t. j. na rozstrój nerwowy, lecz po odprawieniu nowenny do Matki Boskiej i to cierpienie mnie opuściło.

Również mój mąż chorował niebezpiecznie na gardło i już nie mógł prawie ust otworzyć. Przywołaliśmy lekarza, lecz przepisane przezeń środki okazały się bezskuteczne. Widząc, że lada chwila może się chory zadusić, wdziałam mu szkaplerz i zmówiłam Ojcze nasz i Zdrowaś Marya. Zaledwiem odeszła, mąż uczuł, że mu coś pękło w gardle i zaraz swobodnie przemówił. Byłli to wypadek, czy też cud? Według mnie był to cud prawdziwy — i jako za taki wyrażam Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce należyte, z głębi serca pochodzące dziękczynienie.

Nielepice (Galicya).

MARYANNA KOŁODZIEJCZYK.

***

Wywięzując się z danego przyrzeczenia, składam na tem miejscu moje publiczne i najserdeczniejsze podziękowanie N. M. P. Wspomożycielce Wiernych za liczne łaski, jakie dotąd otrzymałem, a zwłaszcza za Jej szczególną opiekę nade mną w czasie mej długiej i pełnej niebezpieczeństw podróży misyjnej do Sucre w Boliwii, jako też za przywrócenie mi zdrowia w ciężkiej i już prawie śmiertelnej chorobie zapalenia płuc, w jaką popadłem po odbyciu wspomnianej podróży.

Sucre (Boliwia).

Kl. Paweł Wiktor Mróz
Salezyanin.

***

Już dwa tygodnie minęło, jak złodziej skradł nam pieniądze, a żadnego śladu po nim nie było. W tem naszem zmartwieniu poszedłem do swego parafialnego kościoła i uklęknąwszy przed obrazem Matki Boskiej, prosiłem Jej, aby mi Ona raczyła dopomódz do wykrycia złodzieja. Przyobiecałem zarazem, że jeżeli Panna Najśw. mnie wysłucha, poślę ofiarę na Mszę św. do Oświęcimia. Zaledwie wróciłem do domu, zaraz wykryto złodzieja w moim domu — i to wśród własnych czeladników, na których nawet żadnego podejrzenia nie miałem.

Na podziękowanie Matce Boskiej za tę łaskę, posyłam 5 koron na cel wyżej wspomniany, a drugie 5 koron na rzecz Zakładu Ks. Bosko w Oświęcimiu.

Rabka (Galicya), 28-1-1906.

Franciszek i Anna Miskowcowie.

Marya jest naszą pomocą.

Swego czasu błagałam Najśw. Maryę Pannę, że jeśli mnie wybawi z kłopotu, jakiego doznałam, ogłoszę to publicznie w ,,Wiadomościach Salezyańskich.'' W krótkim czasie zostałam wysłuchana, ale nie wypełniłam danej obietnicy. — Może właśnie dlatego popadłam po raz drugi w ten sam kłopot. Zniewolona koniecznością, uciekłam się ponownie do M. B Wspomożenia Wiernych, i znowu zostałam wysłuchana.

Przejęta wdzięcznością ku tejże Matce Najśw. za okazaną mi dobroć, składam Jej niniejszem moje najserdeczniejsze podziękowanie i polecam się Jej dalszej opiece.

Zamiechów (Galicya), 2-2-1906.

Marya Gamracy.

***

Od trzech lat syn mój tułał się po manowcach i stronił od wszystkiego co Boskie, a osobliwie od Najśw. Sakramentów. Już mnie po prostu rozpacz brała, aż wreszcie Bóg ulitował się nade mną, skoro żem się udała do M. B. Wspomożenia Wiernych i postanowiła — w razie wysłuchania — ogłosić o tem we *Wiadomościach Salezyańskich.* Od tego czasu syn mój odmienił się zupełnie i żyje teraz przykładnie.

Wyrażam przeto moje najszczersze podziękowanie Matce Najśw. Wspomożycielce za to, że za Jej przyczyną jeden syn marnotrawny więcej powrócił na drogę cnoty.

Agua Branca (Brazylia).

Elżbieta Sierpińska.

Dobroć Maryi Wspomożycielki.

Przed kilku laty zachorowało mi naraz troje dzieci na szkarlatynę. Zawezwałem lekarza, ale ten po zbadaniu stanu pacyentów oświadczył bez ogródki, że szkoda wydatków, bo niema nadziei wyleczenia tych dzieci. Gdy, przejęty tą smutną wieścią, siedziałem w domu strasznie przygnębiony, przychodzi mój znajomy i podając mi medalik Maryi Wspomożycielki, mówi: *oto najlepsze lekarstwo!* Odpraw prócz tego nowennę do tejże Panny Najśw., a zobaczysz, że dzieci wyzdrowieją. I tak się też stało.

Zeszłego roku zaś zachorował mi 19letni syu na zapalenie opon brzusznych. Przywołany lekarz, człowiek bardzo dzielny w swym zawodzie, orzekł, że niema już ratunku i kazał chorego zaopatrzyć SS. Sakramentami na drogę wieczności. Czas naglił, bo chory nie mógł się o własnej sile ani nawet ruszyć. W tej krytycznej chwili udałem się do Najsł. Serca Jezusowego i do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych, ślubując, że jeżeli to Boskie Serce za przyczyną swej Matki najlitościwszej zachowa mi syna przy życiu, złożę skromny datek i ogłoszę publiczne dziękczynienie we ,,Wiadomościach Salezyańskich.'' Otóż chociaż lekarz stanowczo zaznaczył, że nawet w razie wyzdrowienia musiałby się chory poddać następnie operacyi, mimo to obyło się bez tego i dzisiaj cieszy się on najlepszem zdrowiem.

Uznając w tem widoczny dowód opieki naszej najdobrotliwszej Matki, Maryi Wspomożycielki, składam Jej wraz z żoną publiczne dziękczynienie

i przesyłam 6 koron na Mszę św. dziękczynną, a 4 korony na cele salezyańskie.

Jordanów (Galicya), 29. lutego 1906 r.

WAWRZYNIEC i MARYANNA ŁACKOWIE.

***

Przypadkowo dostał mi się do rąk zeszyt *Wiadomości Salezyańskich*, i kiedy wyczytałam w nim o różnych łaskach, doznanych przez osoby wszystkich stanów od Najśw. Wspomożycielki Wiernych, przypomniało mi się, że także ja nie wywiązałam się dotąd ze ślubu, jaki w czasie mojej choroby uczyniłam.

Przed czterema laty zapadłam ciężko na zdrowiu i choroba moja przybierała z dnia na dzień formę coraz groźniejszą. Nie chcąc zostawiać dzieci sierotami, prosiłam Boską Lekarkę Maryę Wspomożycielką, abym mogła jeszcze wyzdrowieć. Posłałam również do XX. Salezyanów ofiarę na odprawienie nowenny, i także ja się do niej duchowo przyłączyłam. Widocznie wskutek tych modłów dobrotliwa Wspomożycielka Wiernych przywróciła mi żądane zdrowie...

Nie uczyniwszy tego wprzódy, czego mocno żałuję, składam Jej obecnie najszczersze podziękowanie i proszę o dalszą opiekę dla mnie i dla moich dzieci.

Królewskahuta (Górny Śląsk), 9-2-1906.

EMILIA CYL.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Marcin i Franciszka Chwaliszewscy, Biadki (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Ludwika Jurkiewiczowa, Krysowice (*Galicya*); Klementyna Cepuchowa, Milatyn (*Galicya*); Antoni Kłaczyński, Rudki nieznanowskie (*Galicya*); Antonina Fitówna, Dębniki (*Galicya*); Jan Daniel, Pewel wielka (*Galicya*); Teodora Fiałkowska, Stanisławów (Galicya); Marya Baczyńska, Gliniany (Galicya); Marcin Bania, Smęgorzów (*Galicya*); Franciszek Szczepański, Buczków (*Galicya*); St. Latanowiczowa, Poznań; I. K. Pelczarowie, Korczyna (*Galicya*); Julia Ziemińska, Niewodna (*Galicya*); Marya P., Barcin (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Wojciech i Józefa Michalscy, Niewodna (*Galicya*); Zygmunt i Anastazya Zawistowscy, Jan i Maryanna Jankowscy, Nieżywięć (*Prusy Zachodnie*); W. Maryan Olszewski, Daszawa (*Galicya*); Wincenty i Ewa Jerki z Królestwa Polskiego; W. W. Siostry Służebniczki, Łańcut (*Galicya*); Melania Chmielnik, Turka (*Galicya*); Władysław i Marta Śliwińscy z P. (*Prusy Zachodnie*); Zygmunt Szczęsnowicz, Uście zielone (*Galicya*); Franciszek Masoń, Ruda (*Górny Śląsk*); Agnieszka Górczyńska, Bożydar (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Jan Żug, Lipiny (*Górny Śląsk*); Rozalia Klein, Miechowice (*Górny Śląsk*); R. Steuer, Zaborze (*Górny Śląsk*); Katarzyna Mańka, Niemieckie Piekary (*Górny Śląsk*); Julia Ostrowska, nauczycielka, z Poręby spytkowskiej (*Galicya*), za uzyskane zdrowie oraz inne łaski; Anna Turkiewicz z Głowaczowej (*Galicya*), za wyzdrowienie z bardzo niebezpiecznej choroby; Antoni i Marya Zimni z Różanki (*Galicya*), za zdrowie i szczęście; J. B. z Waszyngtonu (*Stany Zjednoczone*), za szczęśliwą podróż; Władysław Marcinkowski z Poznania, za wyzdrowienie żony; Seweryn Łuniewski z Agua Branca (*Brazylia*), za uzdrowienie córeczki Scholastyki, która od urodzenia cierpiała straszne boleści; Franciszek Kurka z Gąsiorowic (*Górny Śląsk*), nadsyła 5 marek na podziękowanie Maryi Wspomożycielce za wyzdrowienie swej żony Katarzyny; Marya Balcerek z Karmina (*Wielkie Księstwo Poznańskie*), za uwolnienie niewinnie uwięzionego męża; Julianna Sus z Imielnicy (*Górny Śląsk*), za otrzymane zdrowie.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*





Wielki Tydzień w dawnej Polsce.

Z wielką starannością, odpowiadającą głębokim uczuciom religijnym, święcono w dawnej Polsce ostatni tydzień Wielkiego Postu, poświęcony rozpamiętywaniu ziemskich pielgrzymek Zbawiciela.

W niedzielę palmową, po stosownej przemowie wręczali królowi palmy synowie znakomitych rodzin, ubrani w białe szaty. Zwyczaj ten poszedł w zapomnienie dopiero od czasów Jana Kazimierza, a to skutkiem ciągłych zamieszek, podczas których nie pora była myśleć o podobnych ceremoniach. — Ogół święcił niedzielę palmową procesyami. Na ich czele postępowała strojna gromada chłopców z palmami w ręku i kokardami u kontusików. Wśród bicia dzwonów i pobożnych pieśni okrążał pochód całe miasto; chłopcy od chwili do chwili podawali palmy tłumom, które rozszarpywały je, obrywając i połykając zaraz bazie w przekonaniu, że to ich od chorób uchroni. Po powrocie do kościoła ustawiała się młodzież szkolna w dwa rzędy; lepsi uczniowie wygłaszali do pobożnej publiczności wierszowane przemowy o śledziu, poście i biedzie szkolnej, a dla kontrastu i o szynkach, jako też o plackach wielkanocnych.

Następnie zajmowali miejsce tych młodocianych oratorów chłopcy miejscy, poprzebierani za pastuchów, pielgrzymów, olejkarzy, huzarów i t. p., puszczając także folgę swej swadzie. Ponieważ jednak samo ich pojawienie się wywoływało powszechną wesołość, zniesiono ten zwyczaj za czasów Augusta III.

W czasie gdy dzwony umilkną, tj. w ciągu Wielkiego Czwartku, Piątku i Soboty, aż do resurekcyi, słychać było w miastach dawnej Polski klekotki i grzechotki, cieszące się nadzwyczajną sympatyą u malców.

Z wielką ostentacyą przystrajano groby Pańskie. Często też przy tej sposobności zdarzało się widzieć rzeczy bardziej efektowne, niż stosowne. Przy grobach przygrywała nieustannie muzyka podniosłe melodye, lub też śpiewał je chór młodzieży, starannie zazwyczaj dobranej.

We Wielki Czwartek biskupi i królowie, od Zygmunta III. począwszy, umywali ubogim starcom nogi. Za czasów Stanisława Augusta zdarzyło się pewnego razu, że z dwunastu starców miał każdy wyżej stu lat, jeden 125, a wszyscy razem 1800. Dziś byłoby trudno dobrać podobną kompanię.

We Wielki Piątek karano Judasza za zdradę. Uosabiał go bałwan, wypakowany gałganami i szmatami. Bałwanowi temu kładziono do kieszeni 30 kawałeczków szkła, i wówczas dopiero oprowadzano go po mieście. Następnie zrzucano go z wieży kościelnej, nareszcie zaś, po gruntownem obiciu kijami, topiono go w rzece. Wymierzano też karę na barszczu i śledziu za to, że przez tydzień nie dopuszczali nic innego do żołądka. Śledzia wieszano na suchej wierzbie, barszczowi zaś grożono, iż zakopany będzie w garnku w ziemię. Do niesienia tego garnka upatrywano stosownie naiwną ofiarę, której w pochodzie rozbijali towarzysze garnek nad głową, rozbiegając się potem na wszystkie strony.

W sobotę do późna w noc pozostawali królowie z rodziną i dygnitarzami w kościele. W czasie resurekcyi strzelano z armat, moździerzy, strzelb i pistoletów, palono beczki smolne i sztuczne ognie. Gdy z ust kapłana padło pierwszy raz „Alleluja,“ wszyscy uczestnicy uściśnieniem ręki i cichemi słowy składali sobie życzenia (1). Z resurekcyą kończył się długi szereg obrzędów.

Kilka chwil z życia Gabryela Garcia Moreno

prezydenta rzeczpltej Ekwatorskiej, który padł pod sztyletami nasłanych przez masonerye spiskowców jako bohater sprawy katolickiej.

I.

Gabryel Garcia Moreno urodził się w Guayaquil, zwanem perłą Pacyfiku, dnia 24. grudnia 1821. Ojciec jego, Don Pedro Garcia Moreno, pomimo że chlubnie ukończył na zagranicznych akademiach karyerę prawniczą, puścił się na drogę handlu, i z pomocą swej niezwykłej energii stał się wkrótce jednym z potentatów finan-

(1) Na Rusi po dziś dzień istnieje zwyczaj pozdrawiania się w czasie wielkanocnym słowami: „*Chrystos woskres*“ na co drugi odpowiada: „*Woisteno woskres*“ — Chrystus zmartwychwstał — Rzeczywiście zmartwychwstał.

sowych Ekwatoru Matka, Mercedes Moreno, mieszczanka Gwajakwilska, pochodziła z bogatej rodziny patrycyuszowskiej i wyniosła z domu, prócz pokaźnego posagu, wychowanie katolickie i gruntowną znajomość swych obowiązków macierzyńskich. Gabryel był ostatnim synem tego małżeństwa. i on sam tylko przy życiu pozostał.

Gdy przyszedł na świat, przechodził jego ojciec groźną kryzys majątkową, która skończyła się utratą prawie całego majątku. Don Pedro zniósł ten cios po chrześcijańsku, pocieszony przez godną małżonkę. Zaczął nieustraszony pracę od początku, lecz brakło mu już pierwotnej energii, i więcej zajmował się wychowaniem swego jedynaka.

Był to chłopiec natury bardzo nieśmiałej i bojaźliwej. Gdy kto obcy próg mieszkania przestąpił, krył się płacząc za plecy mamy; zanosił się od płaczu, gdy zaczynało grzmieć, a na widok lub wzmiankę o umarłych mdlał ze strachu. Ojciec martwił się takiem usposobieniem dziecka, i postanowił je wyleczyć.

Gdy raz w czerwcu ozwały się pierwsze echa dalekiego jeszcze grzmotu, Gabryel porzucił swe dziecinne zabawki, pobiegł coprędzej do najskrytszej komnaty, i tam skulony za szafą jęczał ze strachu. Don Pedro odszukał go tam, wywlókł, zaprowadził na obszerny niekryty taras domu i zostawił go tam, zamykając za sobą drzwi Chłopiec zrazu krzyczał, kładł się na ziemię i błagał o litość, ale nic to nie pomagało. Tymczasem burza rozszalała na dobre. Gęste błyskawice przedzierały złowrogo powietrze, a potężny grzmot huczał tysiącznem echem w pobliskich górach; wtórował mu strasznem wyciem silny wicher. Po dobrej godzinie, gdy się słońce ponownie na niebie uśmiechnęło, wpuścił ojciec syna przemokłego do nitki, ale wyleczonego gruntownie z głupiego strachu.

Po kilku dniach zmarł przyjaciel p. Moreno, mieszkający z nim w jednym domu. Don Pedro zaprowadził syna do komnaty obitej kirem, gdzie na katafalku leżał wśród gorejących świec trup zmarłego. Chłopiec wszedł, bo musiał, ale ani razu nie podniósł oczu na trumnę: modlił się jak drudzy, ale drżał na całem ciele, zęby dygotały mu jak w febrze, a rączka drżała w dłoni ojcowskiej Nadeszła wieczerza, przy której o niczem innem nie mówiono, jak tylko o zmarłym i pogrzebie: to do reszty zmieszało małego Gabryela. Nie odważył się położyć do łóżka przed innymi i pomimo iż go sen morzył, siedział przy stoliku za mamą, udając że czyta i walcząc mężnie ze snem. Nareszcie wybiła godzina jedenasta i rodzina udawała się na spoczynek. Chłopiec nie chciał być pierwszym: czekał, ażby kilka osób było w sypialni. Poszedł potem do ojca, by mu według zwyczaju życzyć dobrej nocy i otrzymać błogosławieństwo. Na to czekał Don Pedro. Zgasił lampę, tak że grube ciemności zapanowały dokoła, i następnie rzekł do syna:

— Teraz idź, i od gromnicy, która gorze przy trumnie, zapal twoją świecę. Dziecko rozpłakało się, ale poszło: w ciemności słychać było niepewne kroki i macanie po ścianach, potem otwarły się drzwi żałobnego pokoju. Wszedł



Salezyańska kaplica świąteczna w Cordobie (Argentyna).

i rozejrzał się dokoła: zrazu o mało nie zemdlał, opamiętał się atoli, ukląkł, pomodlił się, potem już bez wszelkiej obawy przystąpił do trumny, zapalił świeczkę i powrócił do ojca — wyleczony na zawsze.

II.

Prezydent Moreno odwiedzał raz szpital w mieście Gwajakwil. W głównym salonie ujrzał kilkunastu chorych złożonych na gołej ziemi. Wyraża swe zdziwienie z tego powodu, a dyrektor lazaretu odpowiada, iż w kasie pustki, a prócz tego trudno rzeczy potrzebnych dostać.

— Lecz najpóźniej w ciągu kilku tygodni wszystko będzie w porządku, kończy gorliwy zarządca.

— W ciągu kilku tygodni? I pan myślisz tych biedaków przez kilka tygodni zostawić w tym stanie? — Tej nocy i następnych, dopóki nie zaradzisz, będziesz pan sypiał tu obok tych chorych.

Do wieczora znalazło się czego było potrzeba.

III.

Wychodzi pewnego rana prezydent, by udać się o naznaczonej godzinie do swego biura, gdy trafia u drzwi pokoju stojącego starca weterana o kuli.

— Kogo tu czekacie, przyjacielu?

— Waszej Ekscellencyi, aby poprosić o wymiar sprawiedliwości. Umieram z głodu, a od paru miesięcy nie otrzymuję mojej pensyi.

Przywołany natychmiast komisarz skarbowy oświadcza, iż do centa wypłacano natrętowi co mu się należało.

— Oszukaliście mnie, a to nie pięknie — rzecze Moreno.

Weteran, który prawdę mówił, obraził się, ale nie tracąc zimnej krwi, odparł:

— Jeżelim ja skłamał, rejestry powinny mówić prawdę.

— Słusznie, odrzekł Garcia i ponownie wezwał komisarza. Okazało się, iż ten dla siebie schował był grosz tego człowieka.

— Siadaj pan — rzekł z poważną miną prezydent — i pisz w rubryce intrat: 200 fr. jako karę za okłamanie prezydenta zapłacił komisarz skarbowy.

Weteran otrzymał co mu się należało, a w dodatku owe 200 fr.; urzędnik zaś dziękował w duszy Bogu, że mu to tak na sucho obleciało.

IV.

Zreformowawszy niedołężne prawodawstwo swej ojczyzny, ugruntował nowe prawa na czystej etyce katolickiej i na sprawiedliwości ewangelicznej. Sam zaś osobiście brał udział przy egzaminowaniu kandydatów.

Zdarzyło się, iż zasiadł do egzaminu akademik, syn bogatej rodziny stolicy, i śmiało i gruntownie odpowiadał na zapytania profesorów. Widać było po nim, iż czas nauk zużył sumiennie i nabył wiedzy ponad swój wiek.

Gdy wszyscy byli już zachwyceni młodzianem, ozwał się Garcia i rzekł:

— Jesteś pan doskonałym jurystą, posiadłeś głęboką znajomość prawa i to panu zaszczyt przynosi. Ale umieszże kawalerze równie dobrze katechizm? Wszak sędzia powinien znać przedewszystkiem prawo boże.

A widząc, iż tenże na stawionych kilka pytań nie umiał odpowiedzieć, odrzekł surowo:

— Pomimo tytułu doktora, nie będziesz pan używał publicznie swego prawa, dopóki nie nauczysz się katechizmu. Na naukę wyznaczam konwent OO. Franciszkanów.

V.

Przy budowie kolei żelaznej przyszło przerzynać farmę pewnego kolonisty. Spekulant upatrzył był w tem łatwą sposobność zapchania swej kieszeni groszem publicznym i przygotował się odpowiednio, skoroby go wezwano. Doczekał się tego nareszcie. Zapytany o cenę, jął podnosić żale, iż faktorya jego skutkiem takiego przerznięcia straci na wartości, a więc on albo całą sprzeda, albo nie pozwoli jej przedzielać.

Prezydent nie zawahał się ani chwili.

— Jak wysoko cenisz pan swoje gospodarstwo?

— Okrągło dwa miliony 5 o tysięcy franków.

— Dobrze: nabywam je, i zaraz wygotuję asygnatę. Lecz pomnij pan dobrze, iż do urzędu podatkowego dałeś ją pan otaksować na fr. 2.500, Oczywiście od lat z górą 30-tu oszukiwałeś pan rząd: teraz nadeszła chwila, że wszystko zapłacisz.

Farmer na kolanach błagał prezydenta o łaskawość, i kontent był, że mu zapłacono rzeczywistą cenę pasa ziemi potrzebnego pod kolej.

VI.

Lecz tenże Garcia Moreno zaczynał każdy swój dzień od modlitwy. Wszedłszy następnie do biura, klękał przy stoliku i nad plikami papierów za-

tapiał się przez pół godziny w pobożnem rozmyślaniu, a skoro nadszedł koniec dnia, rachował się akuratnie ze swojem sumieniem. Co tydzień przystępował do Stołu Pańskiego, u którego czerpał siłę i roztropność do kierowania skołataną nawą republiki w czasach nadzwyczaj burzliwych. W dzień największego tryumfu, gdy śmiałym zamachem rozbroił zszeregowanych rewolucyonistów i bez strzału i rany ocalił zagrożoną wolność ojczyzny, podarował mu ktoś małą książeczkę: O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa. Po śmierci znaleziono przy nim tę książeczkę, a jej kartki zżółkłe i nadwyrężona okładka świadczyły o jej częstem używaniu Na ostatniej zaś stronicy, nie zapełnionej drukiem, napisał właściciel własnoręcznie swoje postanowienia. Brzmią one jak następuje:

Dwa razy do dnia będę się rachował szczegółowo ze swojem sumieniem o postępie w danej cnocie; co wieczór zaś zbadam je z całego dnia.

U siebie w pokoju nie będę odmawiał modlitw siedząco, ilekroć będę to mógł uczynić na kolanach.

Żadnej zabawie nie poświęcę więcej ponad godzinę, a nigdy jej nie przeciągnę ponad ósmą w wieczór.

Przed każdym ważniejszym aktem mego urzędu złożę swe serce Bogu w ofierze.

Dołożę starania, aby nigdy nie zapominać o obecności bożej, zwłaszcza w rozmowach, aby nie przekroczyć miary w słowach.

Co rano wysłucham mszy św., na której będę prosił Boga o cnotę pokory.

Każdodziennie odmówię różaniec.



ŻYWOT

X. biskupa Alojzego Lasagni

Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XXIX.

Druga podróż do Europy. — Śmierć matki. — Jego boleść. — Szuka pociechy w pracy. — Zawsze misyonarzem. — Poufne rozmowy. — Na grobie matki. — Rzadki przykład. — Poważne zgromadzenie.

Podczas gdy ks. Lasagna prowadził mężnie dalej dzieło rozpoczęte w Urugwaju i w Brazylii, ciesząc się rzadkiemi pociechami spotykanemi wśród licznych cierni, ks. Bosko listem okólnym z 31go maja 1886go zapowiedział zwołanie 4tej Kapituły generalnej Zgromadzenia Salezyańskiego na pierwsze dni września. Taki zjazd wszystkich Przełożonych i Dyrektorów Salezyańskich, jest zawsze imponującym i ważnym; ale w tym roku miał on mieć szczególniejszą cechę uroczystości, miano bowiem przystąpić do obioru członków najwyższej Kapituły. Każdy z domów amerykańskich, choć tak oddalonych, miał wysłać przedstawiciela, któryby dał poznać życzenia, położenie i potrzeby każdego kollegium i każdej misyi. Mons. Cagliero, Wikaryusz Apostolski Patagonii, którego ważne i liczne obowiązki zatrzymywały na miejscu, musiał z żalem odmówić wezwaniu, i wysłał w zastępstwie naszego Ks. Lasagnę. Ten ostatni poddał się ochotnie trudom całomiesięcznej podróży, gdyż cieszyła go nadzieja uściskania znowu ks. Bosko, oraz innych Przełożonych i przyjaciół z Włoch. Zdawało się, że jakiś głos wewnętrzny skłaniał go do korzystania z tej sposobności, inaczej bowiem nie byłby już miał pociechy powitania ks. Bosko na tym świecie. Innym powodem, dla którego pragnął spędzić jakiś czas w ojczyźnie, była chęć ujrzenia chorej oddawna matki Niestety w wyrokach Opatrzności zapisane było, że nie miał już tej pobożnej matki uściskać: zmarła 3° lipca, otrzymawszy, jako ostatnią łaskę, błogosławieństwo Ojca św. Tymczasem syn na okręcie, który go niósł do ojczyzny, karmił się nadzieją szczęśliwej chwili, gdy ją ujrzy i do serca przyciśnie. Ileż

razy, w ciągu podróży, wyprzedzając myślą czas i zbliżając odległości, wyobrażał sobie, że już widzi i słyszy tę ukochaną matkę! Ileż razy wyobraźnia przenosiła go z Valdocco, gdzie czekało nań ojcowskie serce ks. Bosko, do Montemagno, gdzie biło serce macierzyńskie jeszcze goręcej go kochające. Któż zatem zdoła wypowiedzieć ogromną jego boleść, gdy wylądowawszy w Genui, dowiedział się o śmierci tej, której winien był życie?!

Natura upomniała się o swoje prawa i łzy jego popłynęły obficie. Byłby chciał natychmiast udać się do Montemagno, aby się pomodlić na tym świeżym grobie, ale, jako prawy zakonnik, zadał gwałt swym słusznym pragnieniom i pośpieszył do Turynu, gdzie, oczekiwany z największą niecierpliwością przez ks. Bosko i innych przełożonych, wiedział, że przy ich boku znajdzie najlepszą pociechę. W liście, który pisał w tych dniach do ks. Peretto, swojego następcy na inspektoracie Brazylii, daje wyraz swej żałości, ale mówi także o szczerych objawach sympatyi i czułości, i o wielkich pociechach jakie go spotkały w Valdocco.

Przybył do Oratoryum w chwili, gdy się odbywało rozdawanie nagród, a wszystkie dzieci tłoczyły się radośnie dokoła ks. Bosko na pięknie przystrojonym dziedzińcu. Dobry Ojciec, uściskawszy go czule, przedstawił go licznemu zgromadzeniu i chciał, żeby na zakończenie uroczystości przemówił kilka słów do dzieci i do ich dobrodziejów. Wrażenie, wywołane tem gorącem przemówieniem, nie zatarło się w pamięci uczniów.

Wszyscy przełożeni, współbracia i przyjaciele okazywali mu objawy bratniej życzliwości i współczucia. Ci, którzy byli świadkami jego odjazdu przed pięciu laty, po świeżo przebytej bolesnej operacyi, cieszyli się, widząc że powraca w najlepszem zdrowiu mimo ciężkich trudów, długich podróży, licznych prac przedsiębranych i dzieł dokonanych. Pokrzepiony tak serdecznem powitaniem, ks. Lasagna nie zostawił sobie czasu na zasłużony odpoczynek, ale zabrał się natychmiast do udzielania w San Benigno nauk rekolekcyjnych współbraciom, którzy słuchali go długie godziny w skupieniu, nie wiedząc co więcej podziwiać, czy jego wymowę, czy żarliwość misyonarską. Wszyscy wiedzieli już (ze sprawozdań nadsyłanych z Ameryki), jak proste, skuteczne, a do serca przemawiające były jego słowa; jednakże słuchając go, uznawali, że rzeczywistość o wiele przewyższa opisy. Podziwiano szczególniej jego głęboką erudycyę ascetyczną, tembardziej że czynne i ruchliwe życie, jakie bezustanku prowadził, czyniło niepodobną każdą dłuższą pracę naukową.

A nietylko w kaplicy okazywał się prawdziwym apostołem; na każdem bowiem miejscu i we wszystkich rozmowach znać w nim było misyonarza. W godzinach rekreacyi, otoczony duchownymi, klerykami i świeckimi, malował im w żywych barwach kraje, które zwiedzał, obyczaje ludności miejscowej, trudy i pociechy życia misyonarskiego. Tym sposobem rozbudzał w sercach młodych współbraci tyle pragnienia i zapału dla misyi, że wielu ofiarowało się iść za nim. Ale szczególniej długie rozmowy prowadził z ks. Bosko, któremu opowiadał o misyach i o swoich dalszych zamiarach w Brazylii, a dobry Ojciec radował się, że w krótkim przeciągu czterech lat misye te tak pomyślnie się rozwinęły, i dziękował Bogu, że jego kochanego syna natchnął takim zapałem dla zbawienia dusz.

Ukończywszy zbawiennie nauki rekolekcyjne w San Benigno, ks. Lasagna mógł nakoniec zaspokoić pragnienie swego serca, udając się do Montemagno, aby złożyć na grobie matki ostatni hołd swych łez i swej miłości. Uczuł tu żywiej wielką próżnię, która się utworzyła dokoła niego. Ale widząc, że wszystkie więzy rodzinne są już dla niego zerwane, zapałał tem gorętszą miłością dla swej rodziny duchownej i nabrał przekonania, że Opatrzność umyślnie tak wszystkiem rozrządziła, aby mógł z całą swobodą ducha wszystkie swoje myśli i siły skierować ku misyom. Od tego dnia zaczął uważać za swoją rodzinę swych Przełożonych, swych współbraci, wychowanków, emigrantów i biednych dzikich: ci ostatni w sposób szczególny stali się od tego dnia przedmiotem jego osobliwej miłości i miłosierdzia.

Miłosierdzie to nietylko w słowach się objawiało. Podczas swego krótkiego pobytu w Montemagno uporządkował swoje interesa, i sprzedał wszystko, co się sprzedać dało, przeznaczając pieniądze na swoje fundacye w Uruguaju i w Brazylii. Jestto piękny przykład gorliwości apostolskiej i prawdziwej bezinteresowności; ale nie powinien się on nam zdawać dziwnym ze strony tego, który od lat dziesięciu poświęcał dla misyi wszystkie swoje zdolności, swoje siły, a miał w przyszłości złożyć dla nich w ofierze swoje życie.

Tymczasem, jak to wyżej nadmieniono, Przełożeni i Dyrektorowie Oratoryów salezyańskich

zgromadzili się 2. września 1886go w Valsalice na Kapitułę generalną. Po dokonanych wyborach zajęto się kwestyami dotyczącemi zarządu różnych domów salezyańskich. Każdy przedstawiał swoje zapatrywanie, a po wyczerpaniu dyskusyi, zawsze spokojnej, czekano, aby ks. Bosko rozstrzygnął sprawy, usunął trudności i wskazał stanowczo kierunek działania. Zebrania te były szkołą, w której czcigodny Mistrz, przeczuwając niedalekim dzień, w którym przyjdzie mu opuścić swych uczniów, zdawał się chcieć streścić dla nich w kilku słowach swoje nauki i swoje długoletnie doświadczenie. Ks. Lasagna, który po raz pierwszy uczestniczył w generalnej kapitule, chwytał każde słowo, które padało z ust ks. Bosko, i wyznał, że więcej się nauczył w czasie tych posiedzeń, niż ze wszystkich książek jakie przeczytał. Dla jego serca tak czułego i wylanego, było też niewymowną pociechą spotkać ponownie tylu towarzyszy i przyjaciół rozproszonych po Włoszech, Francyi, i Hiszpanii, i od lat niewidzianych; a tak raz jeszcze doświadczył, jak słodko jest braciom mieszkać razem i mieć tylko jedno serce i jedną duszę.

Ecce quam bonum et quam jucundum habitare fratres in unum.

Rozdział XXX.

Piękny projekt. — W kościele N. Panny Łaskawej w Medyolanie. — Najświetniejsza chwała Włoch. — W okolicach Medyolanu. — Zręczne apostolstwo. — W stolicy Francyi. — Cenne nabytki. — Pogłoski o nominacyi na biskupa. — Fakt, o jakim od 200 lat nie słyszano. — Zadowolenie Leona XIII. — 2. grudnia 1886 roku w świątyni N. Panny Wspomożenia w Turynie. — Na okręcie Tybet. — Straszliwa burza.

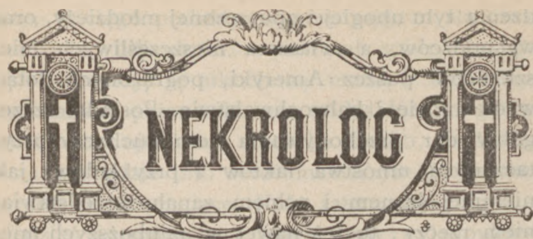


Odważny misyonarz przybył wprawdzie do Europy na generalną Kapitułę Zakonu, ale ponieważ żądza pozyskania dusz dla Chrystusa nie przygasała w nim ani na chwilę, nosił się z inną myślą. Postanowił mianowicie wygłosić po ludniejszych miastach konferencye, celem rozbudzenia w szlachetnych sercach drzemiących uczuć miłosierdzia na korzyść swej misyi. W kilku miesiącach, które spędził we Włoszech, przebiegł wszystkie miasta i miasteczka półwyspu, i gdzie tylko otrzymał potrzebne pozwolenie od miejscowego biskupa, wstępował na ambonę i gorącem słowem kreślił obraz nędzy i upośledzenia tylu ubogiej i opuszczonej młodzieży, oraz wychodźców, a zwłaszcza nieszczęśliwych mieszkańców puszcz Ameryki, pogrążonych dotąd w ciemnocie i bałwochwalstwie. Posiadał szczególny dar przekonywania serc słuchaczy przytaczaniem mnóstwa faktów i przykładów, jak niemniej jasnem i pełnem zapału przedstawianiem rzeczy; to też nawet w najuboższych mieścinach zbierał obfite jałmużny; a przedewszystkiem wszędzie, gdzie się dał słyszeć, rozbudzał gorącość wiary, wstrząsał serca obojętnych, dając z siebie piękny przykład misyonarza katolickiego i głosząc coraz szerzej o swym ukochanym ks. Bosko. Będąc w niemożności wyliczenia wszystkich konferencyi, które wypowiedział w rozmaitych miejscach, wspomnimy tylko o kilku, aby dać choć małe pojęcie o jego apostolskiej działalności.

Zaczął swą pracę od Medyolanu, gdzie grono gorliwych Pomocników, oraz byli uczniowie Oratoryum na Valdocco nie szczędzili starań, by dnia 12. września zgromadzić w kościele N. P. Łaskawej kwiat inteligencyi stolicy Lombardyi. Arcybiskup Medyolanu, J. Em. X. kard. Nazari di Calabiana, chciał sam przewodniczyć zgromadzeniu, dając tem poznać, jak wysoko cenił ks. Bosko i jego dzieła. X. Bosko, mimo złego stanu zdrowia, przybył już 11. do miasta i zajął miejsce obok Arcybiskupa, zwracając na siebie uwagę swą skromną postawą. Po skończeniu Mszy św., gdy wszyscy spodziewali się ujrzeć na ambonie czcigodnego Ojca, wszedł na jego miejsce X. Lasagna. Zaczął od podziękowania czcigodnemu ks. Arcybiskupowi, który lat temu 20, tegoż dnia właśnie, będąc wtedy biskupem w Casale, przyodział go w suknię kapłańską; potem mówił o cudownym rozwoju dzieł ks. Bosko, które nietylko w Europie, ale także w nowym świecie szerzyły się coraz bardziej z niezrównanym pożytkiem tysięcy dzieci, emigrantów włoskich i tych biednych dzikich, których pierwszy raz dosięgło zbawienne światło Ewangelii.

Korespondent ,,Kuryera Turyńskiego" twierdził, że gdyby konferencya odbywała się nie w *kościele*, lecz w *jakiej sali*, gorące oklaski wzruszonych słuchaczy byłyby niejednokrotnie przerwały mówcy, szczególnie gdy dowodził, że misye są nie tylko dziełem religijnem, ale przedewszystkiem patryotycznem, i że rządy powinny je popierać całą swą powagą i wszystkiemi siłami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Ambroży Brygida, — Bytom, *Górny Śląsk.*
Błażowski Paweł, — Czaszyn, *Galicya.*
Breński Michał, — Wessołowo, *Prusy Zachodnie.*
Buda Stanisław, — Osielec, *Galicya.*
Bylica Jan, — Andrychów, *Galicya.*
Chęcińska Marya, — Kłecko, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Chojnowski Franciszek, — Sumin, *Prusy Zachodnie.*
Chrzanowski Wawrzyniec, — Parkowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Czerniejewska Marya, — *Środa*, Wielkie Ks. Poznańskie.
Dressler Władysława, — *Poznań.*
Filoda Walenty, — Połajewo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Frączek Franciszek, — Skawce, *Galicya.*
Gabryelewicz Pelagia, — Środa, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Gola Agata, — Mały Kotorz, *Górny Śląsk.*
Görlitz N., — Kamień, *Górny Śląsk.*
Graczek Jan, — Grodziczno, *Prusy Zachodnie.*
Granica Franciszka, — Linówiec, *Prusy Zachodnie.*
Jackowiak Rozalia, — Korzeń, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Jankowski Józef, — Czaszyn, *Galicya.*
Jureczko Marya, — Kier, *Górny Śląsk.*
Kabarowska Apolonia, — Złoczów, *Galicya.*
Kapica Wojciech, — Kamieniec, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Klimek Józef, — Sumin, *Prusy Zachodnie.*
Kołodziej Mateusz, — Imielin, *Górny Śląsk.*
Kuczera Jan, — Pniaki, *Górny Śląsk.*
Kuzka Jan, — Jaworzno, *Galicya.*
Lewandowski Jan, — Linówiec, *Prusy Zachodnie.*
Licznierska Anna, — Łuszkowo, *Wielkie K Poznańskie.*
Marszałek Bartłomiej, — Żabnica, *Galicya.*
Mieszkowska Franciszka, — Wessołowo, *Prusy Zachodnie.*
Milczek Maryanna, — Stramnice, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Mioskowska Ewa, — Montowo, *Prusy Zachodnie.*
Nikisz Jan, — Lwów, *Galicya.*
Nowakowski Franciszek, — Pyzdry, *Królestwo Polskie.*
Ornowska Anna, — Linówiec, *Prusy Zachodnie.*
Ptak Edward, — Tworków, *Górny Śląsk.*
Raczkowska Marta, — Katlewo, *Prusy Zachodnie.*
Rosicki W., — Poniec, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Ruciński Franciszek, — Grodziczno, *Prusy Zachodnie.*
Rygelska Zofia, — Krosno, *Galicya.*
Ślęzak Jan i Franciszka, — Młynów, *Górny Śląsk.*
X. Śmigielski Walenty, — Ostrów, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Świetlik Marya, — Płochocin, *Prusy Zachodnie.*
Szczepańska Franciszka, — Linówiec, *Prusy Zachodnie.*
Szczepański Maciej, — Linówiec, *Prusy Zachodnie.*
Szczuka Franciszek, — Małe Piotrowice, *Górny Śląsk.*
Szojda Wojciech i Franciszka, — Załęzka Hołda, *Górny Śląsk.*
Szydłowska Julianna, — Grodziczno, *Prusy Zachodnie.*
Talarowski Walenty, — *Poznań.*
Thomas Jan, — Rydułtowy, *Górny Śląsk.*
Urbanek Kasper, — Ruda, *Górny Śląsk.*
Wajrauch Karolina, — Odmęt, *Górny Śląsk.*
Waliczek Jan, — Gorzów, *Galicya.*
Waszkiewicz Maryanna, — Zamczyska, *Prusy Zachodnie.*
Ziółkowska Anna, — Wessołowo, *Prusy Zachodnie.*
Ziółkowska Ewa, — Wessołowo, *Prusy Zachodnie.*
Zuber Konstanty, — Bottrop, *Westfalia.*



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni.